[z. 2]

MJR. S. G. ROMAN STARZYŃSKI.

PROJEKT PODZIAŁU TERYTORJALNEGO RZECZYPOSPOLITEJ.

Zasady ogólne.

Racjonalny podział terytorjalny państwa jest bardzo poważnym czynnikiem dobrej administracji państwowej, ułatwia bowiem rządzenie krajem i regulowanie szeregu spraw, wynikających ze stosunków obywateli między sobą. Jeszcze donioślejsze znaczenie tej sprawy występuje wyraźnie, gdy rozpatrujemy ją z punktu widzenia mobilizacji społeczeństwa na czas wojny i zorganizowania „narodu pod bronią". Wszak z tego punktu widzenia każdy dział administracji państwowej ma do wykonania pewne prace mobilizacyjne, które zazębiają się na każdym kroku. Wskutek tego, na każdym szczeblu administracji państwowej, jak i w każdej jednostce terytorjalnej, muszą istnieć specjalne organa celem uzgodnienia interesów poszczególnych działów administracji państwowej z punktu widzenia interesów wojny i przygotowań mobilizacyjnych. We wszystkich nowocześnie zorganizowanych państwach takie organa już istnieją, a jak je zorganizować — pisze Sergjusz Dobrorolskij [1]): „Jednem słowem przy tych wyższych jednostkach terytorjalnych, na które dzieli się dane państwo, należy stworzyć miejscowe komitety mobilizacyjne... w składzie wszystkich miejscowych władz państwowych". Oczywiście, jest to możliwe jedynie wówczas, gdy *okręgi terytorjalne, na które dzieli się dane państwo, są ściśle skoordynowane z punktu widzenia interesów poszczególnych działów administracji państwowej i są dla wszystkich władz te same.* Tam, gdzie okręgi te dziś nie pokrywają się, istnieje wyraźna tendencja do ich skoordynowania, przyczem za podstawę podziału przyj-

[1]) Sergjusz Dobrorolskij: Przyszła mobilizacja.

muje się przedewszystkiem okręgi stanowiące pewną całość pod względem gospodarczym. Zagadnienie mobilizacji ogólnej społeczeństwa na czas wojny jest przedewszystkiem zagadnieniem natury gospodarczej, to też „logicznem będzie wziąć za podstawę nowej organizacji okręg gospodarczy (région économique), który z każdym dniem wykazuje większą żywotność. Okręgi wojskowe powinny obecnie pokrywać się z gospodarczemi" [1]).

Oto są podstawowe zasady racjonalnego podziału państwa pod względem terytorjalnym i na tych zasadach powinien być oparty podział terytorjalny każdego państwa, dla którego kwestja obrona granic nie jest obojętna.

Obecny podział Rzeczypospolitej.

Przyjrzyjmy się, jak w świetle tych zasad przedstawia się obecny podział terytorjalny Rzeczypospolitej.

Państwo nasze powstawało w czasie wojny, toczonej na cztery fronty; granice Rzeczypospolitej zarysowywały się stopniowo, w miarę bądź zajmowania siłą oręża ziem dawnej Polski, bądź zawierania traktatów pokojowych i przeprowadzania plebiscytów. Ostatecznie zostały ustalone i uznane dopiero w r. 1923.

W ciągu lat 1918—1923, w okresie ustalania się granic, organizm państwowy musiał żyć i funkcjonować, to też doraźnie tworzono władze i jednostki terytorjalne, dostosowane do chwilowych potrzeb. A więc dawne Królestwo Polskie, składające się w r. 1918 z okupacji niemieckiej i austrjackiej, podzielono na 5 województw, tworząc dwa z dawnej okupacji austrjackiej (lubelskie i kieleckie) oraz trzy z dawnej okupacji niemieckiej (warszawskie, łódzkie, białostockie). Po ukończeniu walk z Ukraińcami i obsadzeniu Galicji, której losy do r. 1923 nie były ostatecznie zdecydowane, ze względów natury politycznej, a nie gospodarczej, podzielono ją na 4 województwa (krakowskie, lwowskie, tarnopolskie i stanisławowskie). Po likwidacji odrębnego rządu poznańskiego i obsadzeniu Pomorza, zorganizowano 2 nowe województwa (poznańskie i pomorskie). Po wojnie polsko-sowieckiej podzielono t. zw. kresy na 3 województwa (nowogródzkie, polskie i wołyńskie), do których przybyło woj. wileńskie po likwidacji odrębnego rządu Litwy Środkowej. Wreszcie po plebiscycie górnośląskim zorganizowano woj. śląskie.

---

[1]) Generał Serrigny: Organizacja państwa dla celów wojny.

W ten sposób pierwotny podział terytorjalny Rzeczypospolitej nie mógł być oparty na żadnych racjonalnych zasadach, lecz stworzony został przypadkowo, w miarę mechanicznego wcielania ziem, wchodzących stopniowo w skład państwa polskiego. Dlatego też obok wielkich kompleksów terytorjalnych (woj. lwowskie, kieleckie), liczących po przeszło $2^1/_2$ miljona mieszkańców, powstały jednostki drobne (woj. pomorskie, poleskie), które nie posiadają nawet miljona mieszkańców.

W tych warunkach podział terytorjalny państwa nie mógł być wypadkową interesów wszystkich działów administracji państwowej, a czasem przeczył najistotniejszym potrzebom poszczególnych władz. Dlatego to każde z ministerstw, starając się dokonać najdogodniejszego dla siebie podziału, niezależnie jedno od drugiego, tworzyło jednostki terytorjalne i władze II instancji, które najbardziej mu odpowiadały, ale nie pokrywały się ani z zasadniczym podziałem administracyjno-politycznym państwa, ani z podziałem władz innych ministerstw. W ten sposób powstała istna mozaika władz II instancji i okręgów terytorjalnych, którą przedstawia poniższa tabela:

Ministerstwo	Nazwa władzy II inst. wzgl. okręgu. teryt.	Ilość
Spraw Wewnętrznych	województwo	17
„ Wojskowych	okręg korpusu	10
Skarbu	izba skarbowa	12
Sprawiedliwości	sąd apelacyjny	8
W. R. i O. P.	kuratorjum	11
Komunikacji	dyrekcja kolejowa	9
Poczt i Telegrafów	„ poczt	9
Pracy i Op. Społecznej	inspekcja pracy	11
Reform Rolnych	urząd ziemski	14

Jak z tabeli tej wynika, prawie żadne ministerstwo nie ma tej samej ilości władz II instancji, ani jednostek terytorjalnych, a jeśli ilość ich przypadkowo zupełnie pokrywa się, jak np. ilość kuratorjów i inspekcyj pracy lub ilość dyrekcyj kolejowych i pocztowych, to ani granice tych okręgów, ani ich siedziby nie pokrywają się między sobą.

Jedynie wojewódzkie wydziały przemysłowe, rolnictwa i weterynarji, robót publicznych oraz pracy i opieki społecznej, zo-

stały po długich debatach dostosowane do zasadniczego podziału administracyjno-politycznego Rzeczypospolitej.

Gdyby jednak poddano rewizji obecny podział administracyjno-polityczny, gdyby został on oparty na racjonalnych zasadach, nie byłoby żadnych przeszkód do przyjęcia jednolitego podziału terytorjalnego dla wszystkich działów administracji państwowej. Podział wojskowy mógłby być również dostosowany do podziału administracyjno-politycznego, gdyby województwa były mniej więcej jednakowej wielkości, t. j. gdyby posiadały tę samą ilość ludności. Okręgi izb skarbowych, sądów apelacyjnych, kuratorjów—również z łatwością mogłyby być dostosowane do tego podziału. W razie gdyby województwo było za małą, z punktu widzenia tych władz, jednostką, wszystkie te urzędy mogłyby w każdym razie posiadać okręgi, stanowiące jednostki wielokrotne w stosunku do województw. Pewne trudności wyłoniłyby się może ze strony władz sądowych, które uważają, że jednostki terytorjalne nie mogą składać się z powiatów, wchodzących niegdyś w skład różnych zaborów, ze względu na różnice w ustawodawstwie. Skoro jednak powiat spisko-orawski (z ustawodawstwem węgierskiem) może wchodzić w skład woj. krakowskiego, w którem obowiązuje ustawodawstwo austrjackie, a Śląsk Cieszyński (z ustawodawstwem austrjackiem) w skład woj. śląskiego, w którem obowiązuje ustawodawstwo pruskie, skoro wreszcie woj. białostockie składa się z powiatów b. Królestwa (kodeks Napoleona) oraz powiatów b. gubernji grodzieńskiej (ustawodawstwo rosyjskie) — nie widzę powodów, dla których sądownictwo nie mogłoby zerwać z granicami dawnych zaborów. Tak samo pewne trudności wysuwane są przez władze komunikacyjne, które uważają, że granice dyrekcyj kolejowych i pocztowo-telegraficznych nie dadzą dostosować się do granic województw ze względu na różnice dzielnicowe w przepisach kolejowych. Skoro jednak linja Herby-Podzamcze, biegnąca na terenie b. kongresówki, może należeć do dyrekcji poznańskiej, a linje: Sokal—Włodzimierz i Brody—Zdołbunowo, biegnące na terenie Wołynia, do dyrekcji lwowskiej, to nie widzę powodu dlaczego np. granica dyrekcyj: warszawskiej i wileńskiej, musi znajdować się na st. Łapy, a nie na dużej stacji węzłowej Małkinia (leżącej na granicy woj. warszawskiego i białostockiego) lub na st. Marcinkańce (granica woj. białostockiego i wileńskiego).

Jednem słowem, gdyby podział administracyjno-polityczny został przemyślany racjonalniej, to przy dobrej woli możnaby go

dostosować do potrzeb wszystkich władz państwowych i uniknąć mozaiki granic i siedzib poszczególnych władz II instancji, które podaję w załączniku 1.

Jak z tego załącznika wynika, posiadamy dziś ośrodki, które istotnie centralizują sprawy gospodarcze i kulturalne pewnych terytorjów, sięgających znacznie dalej, niż granice ich województw (np. Warszawa, Kraków, Poznań, Lwów, Wilno) i w tych ośrodkach istnieją władze II instancji wszystkich ministerstw; z drugiej strony, widzimy takie siedziby województw, które nie stanowią żadnego ośrodka życia gospodarczo-kulturalnego nawet własnego województwa (np. Nowogródek) i wskutek tego, poza urzędem wojewódzkim, żadnych innych władz nie posiadają.

To też oddawna już odczuwano potrzebę rewizji obecnego podziału terytorjalnego państwa. Sprawę tę badały różne komisje i konferencje. Istniał cały szereg projektów zmian terytorjalnych. Mimo to, do dnia dzisiejszego żadne zasadnicze zmiany nie zostały przeprowadzone. Przyczyna, zdaniem mojem, leży w tem, że żaden z projektów [1]) nie rozwiązywał sprawy zasadniczo, każdy z nich usuwał jedynie te czy inne drobne bolączki miejscowe, ale nie ustalał zasad, na których racjonalny podział powinien być oparty.

Dlatego też, powracając dziś do tego tematu, muszę najprzód rozpatrzeć te zasady, na których podział terytorjalny Rzeczypospolitej powinien być oparty.

Zasady racjonalnego podziału terytorjalnego.

Jak już na wstępie zaznaczyłem, podstawową zasadą racjonalnego podziału terytorjalnego państwa jest pokrywanie się okręgów terytorjalnych i siedzib władz II instancji dla wszystkich działów administracji państwowej. Jest to nieodzowny, podstawowy warunek racjonalnego podziału. Wynika z niego, że podział ten musi uwzględniać zarówno codzienne postulaty administracji państwowej z punktu widzenia wszystkich jej działów, jak również postulaty przyszłej ogólnej mobilizacji państwa.

Podstawą podziału musi być zasadniczy podział administracyjno-polityczny, który jednak powinien uwzględniać w pierwszej linji interesy gospodarcze i kulturalne ludności, aby nie tworzyć sztucznych ośrodków, w rodzaju Nowogródka. Województwo, jako

[1]) „Naprawa administracji państwa a postulaty wojska" (Bellona, tom IX, zeszyt 3).

podstawowa jednostka terytorjalna, nie może być zbyt wielką jednostką, gdyż interesy ludności w wielkiej jednostce nie mogą być dostatecznie uwzględnione. To też słusznie autor wspomnianego wyżej artykułu o „Naprawie administracji państwowej a postulatach wojska" przyjmuje za podstawę województwo o jednomiljonowej ludności. Szkoda jedynie, że dalej przewiduje kompromisowe załatwienie sprawy i możliwość województw różnych typów. Oczywiście, że województwo o jednomiljonowej ludności jest z punktu widzenia niektórych władz państwowych jednostką zbyt małą. To też władze te mogą swój wpływ rozszerzyć na kilka województw. Wynika z tego, że powinniśmy posiadać władze II instancji na 2-ch szczeblach: urzędy wojewódzkie, łącznie z t. zw. władzami zespolonemi, w mniejszych jednostkach terytorjalnych, natomiast sądy apelacyjne, dyrekcje kolejowe, okręgowe władze wojskowe i t. p. w jednostkach większych, obejmujących kilka województw. Te jednostki nazwałbym, zgodnie z tradycją historyczną, *prowincjami*.

Utworzenie prowincyj nie powinno wpłynąć na powiększenie ilości szczebli w administracji państwowej. Urzędy prowincjonalne byłyby władzami II instancji, tak samo jak urzędy wojewódzkie. Mamy pod tym względem precedens we władzach kościelnych. Rzeczpospolita podzielona jest na 5 prowincyj kościelnych z arcybiskupami na czele, ale arcybiskup administruje faktycznie jedynie swoją djecezją. W ten sam sposób wojewoda w stolicy prowincji administrowałby jedynie swojem województwem, natomiast w stosunku do innych władz prowincjonalnych reprezentowałby administrację polityczną.

Przyjęcie podziału państwa na prowincje byłoby zgodne z dawnym podziałem Rzeczypospolitej, złożonej w r. 1771 [1]) 3 prowincyj, z których każda liczyła po kilkanaście województw.

Jeżeli przyjrzymy się dawnym prowincjom, to z łatwością spostrzeżemy, że prowincje te, wbrew dzisiejszemu podziałowi, istnieją nadal. Wszak zarówno Poznań, jak Kraków czy Wilno, są do dziś dnia faktycznemi stolicami prowincjonalnemi, których siła atrakcyjna sięga znacznie dalej, niż granica odnośnych województw. Ale obecnie do tych stolic przybyła czwarta: Lwów, nie licząc, oczywiście, Warszawy. Dzięki przyczynom historycznym, wyraźnie można dziś dostrzec 5 prowincyj, narazie uznanych jedynie przez wła-

[1]) Władysław Semkowicz: Mapa historyczna Rzeczypospolitej Polskiej w r. 1771.

dze duchowne, które skupiają się dokoła Warszawy, Krakowa, Poznania, Wilna i Lwowa.

Jednakże Kraków jest stolicą prowincji, która nietylko obejmuje dawną Galicją Zachodnią, ale sięga prawie po Częstochowę i Kielce; Poznań jest stolicą nietylko dla całego prawie b. zaboru pruskiego, ale obejmuje swemi wpływami część woj. łódzkiego (dawną ziemię kaliską); Wilno wpływami swemi obejmuje całe kresy północno-wschodnie, Lwów — południowo-wschodnie.

To też najnaturalniejszym podziałem kraju pod względem terytorjalnym byłby, na wzór podziału kościelnego, podział na 5 prowincyj. Jest tylko jedno województwo, które dziś nie ciąży w żadnym kierunku — to Wołyń. Od wieków ciążył on do Kijowa, dziś, oderwany od swej dawnej macierzy, zwraca się na zachód i napotyka na Lublin, ongiś wchodzący w skład Małopolski. Po oderwaniu od Krakowa, z natury rzeczy zwracał on się ku Warszawie, od której znów odcięty został w czasie wojny światowej i wyniesiony do godności stolicy prowincjonalnej (gen. gubernatorstwa lubelskiego). Odtąd Lublin nie traci już pewnej samodzielności i wraz z Wołyniem staje się niejako szóstą prowincją, a jako ośrodek żyznej rolniczej wyżyny lubelsko-wołyńskiej, jest dziś zarówno ośrodkiem kulturalnym (Uniwersytet Lubelski) jak i gospodarczym.

Jednem słowem, racjonalny podział Rzeczypospolitej wymaga stworzenia 6 prowincyj, złożonych z kilku jednomiljonowych województw.

Rozgraniczenie tych prowincyj nie napotyka na wielkie trudności. Jeżeli rzucimy okiem na mapę historyczną Rzeczypospolitej, to z łatwością stwierdzimy, że prowincja poznańska, czyli wielkopolska, obejmuje swojemi wpływami te same ziemie, które niegdyś wchodziły w jej skład, z wyjątkiem Mazowsza. To ostatnie, wraz z dawnem woj. podlaskiem, wchodzącem niegdyś w skład prowincji małopolskiej, dziś wyraźnie ciąży ku Warszawie i powinno stworzyć prowincję warszawską, czyli mazowiecką. Ziemie zachodnie dawnej prowincji małopolskiej (dawne woj. krakowskie i sandomierskie) do dziś ciążą ku Krakowowi, mając tendencję do wchłonięcia Śląska, śladem wchłoniętych niegdyś księstw: siewierskiego, oświęcimskiego i zatorskiego. Z tych ziem powstałaby prowincja krakowska, czyli małopolska. Dawna Ruś Czerwona (b. woj. ruskie, bełskie i część Podola) w dalszym ciągu ma swą stolicę we Lwowie. Jedynie ziemia chełmska dziś ciąży ku Lublinowi, reszta dawnych ziem ruskich powinna utworzyć prowincję lwow-

ską czyli czerwonoruską. Wołyń z ziemią chełmską i b. woj. lubelskiem tworzy dziś faktycznie nową prowincję lubelską, podczas gdy ziemie wchodzące w skład dawnej prowincji litewskiej, od Dźwiny aż po Prypeć, do dziś ciążą ku Wilnu.

Ten podział, zgodny z tradycją historyczną oraz współczesną strukturą gospodarczą Rzeczypospolitej i położeniem geograficznem, nie napotkałby na żadne trudności. Trudniej byłoby z podziałem prowincyj na województwa. Jeżeli jednak przyjmiemy za zasadę, że każde województwo:

1) nie będzie posiadało więcej niż miljon do $1^1/_2$ miljona mieszkańców, a będzie okręgiem o ustalonych granicach geograficznych;

2) będzie tworzyło określony obszar gospodarczy o wyraźnej, jednolitej strukturze ekonomicznej, wzdłuż istniejących szlaków komunikacyjnych z siedzibą w naturalnem centrum danego obszaru;

3) będzie uwzględniało postulaty wojskowe i kulturalne danego obszaru, zgodne z tradycją historyczną, na którą złożył się szereg wieków;

4) będzie miało granice, liczące się nie z granicami dawnych zaborów, lecz z istotnemi potrzebami poszczególnych ziem Rzeczypospolitej;

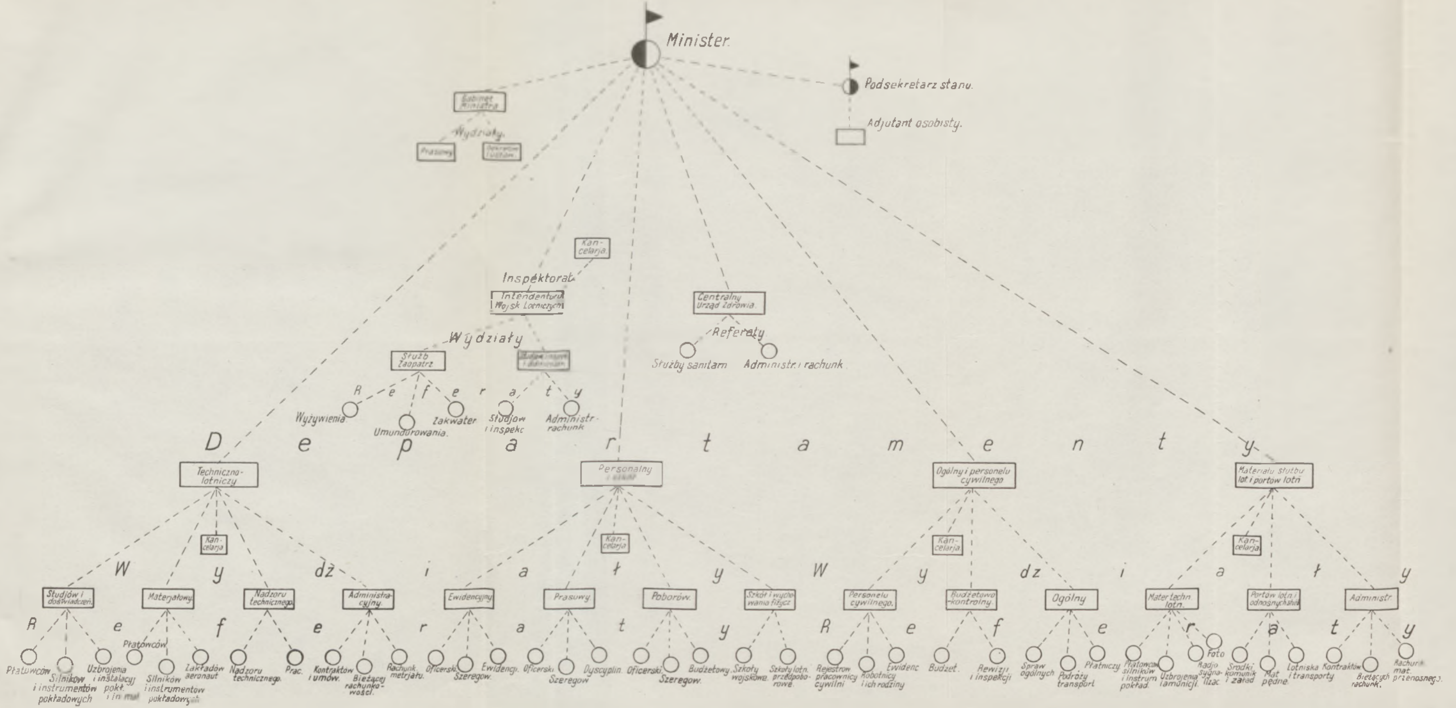
to wszelkie trudności odpadną.

Każda prowincja może w ten sposób posiadać 3 do 5 województw z siedzibą wszystkich władz II instancji w stolicy prowincji oraz z urzędami wojewódzkiemi, łącznie z przedstawicielstwami władz t.zw. zespolonych w siedzibie każdego województwa (załącznik 1).

Trudno dziś ustalić, które mianowicie władze będą tylko w stolicy prowincji, a które w siedzibie województwa. W każdym razie, wydaje się niewątpliwe, że w siedzibie województwa, obok urzędu wojewódzkiego, powinna być izba skarbowa, sąd okręgowy, inspektorat pracy i urząd ziemski. Wszelkie inne władze, zwłaszcza komenda okręgu wojskowego, sąd apelacyjny, kuratorjum, dyrekcja kolejowa, dyrekcja poczt i telegrafów — mogłyby być jedynie w stolicy prowincji. W ten sposób, kosztem redukcji władz II instancji tych ministerstw, które mogłyby je posiadać jedynie w stolicach prowincyj, możnaby utworzyć nowe urzędy wojewódzkie łącznie z władzami innych ministerstw, niezbędnemi w każdem województwie.

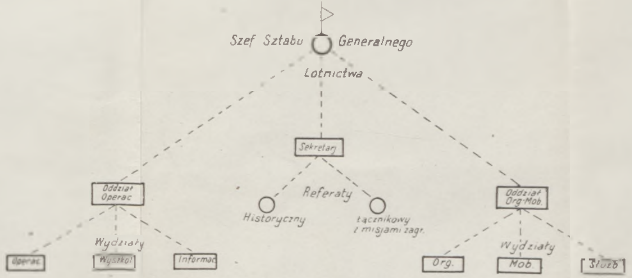
Na tych zasadach oparty konkretny projekt podziału Rzeczypospolitej przedstawiałby się w poniżej podany sposób.

SCHEMAT ORGANIZACYJNY MINISTERJUM LOTNICTWA WE WŁOSZECH.



Zał. Nr. 1. Do art. mjr. S. G.-pil. M. Romeyko „Rozwój i organizacja lotnictwa włoskiego“. Bellona. Tom XXX. Zesz. 2 Maj 1928.

SCHEMAT ORGANIZACYJNY SZTABU GEN. LOTNICTWA WE WŁOSZECH



Zał. Nr. 2.

Projekt podziału terytorjalnego Rzeczypospolitej.

Jak już wspomniałem wyżej, Rzeczpospolita powinna składać się z 6 prowincyj, które powstałyby na zasadzie ich położenia geograficznego oraz warunków historycznych (załącznik 2).

Najstarsza dzielnica polski — Wielkopolska pierwotnie składała się z niziny wielkopolskiej, położonej pomiędzy wyżyną śląską a pojezierzem pomorskiem, łącznie z Kujawami, jako ziemią stanowiącą pomost pomiędzy Wielkopolską i Mazowszem. Zczasem do prowincji wielkopolskiej zaliczono Pomorze i Mazowsze. Gdy jednak, dzięki przeniesieniu stolicy Rzeczypospolitej do Warszawy, Mazowsze uzyskało własną, odrębną fizjonomję, Pomorze, może dzięki wspólnej stuletniej niewoli pruskiej, zrosło się jeszcze bardziej z Wielkopolską i do dziś stanowi niejako jej część integralną. Z tych względów i dzisiaj, tak jak niegdyś, prowincja wielkopolska powinna obejmować kraj położony na północ od wyżyny śląsko—małopolskiej aż po zachodnią granicę Mazowsza, na linji Rawa — Łowicz — Kutno — Płock — Sierpc — Lidzbark, opierając się na północy o morze, a na zachodzie o granicę państwa.

Na obszarze tym niegdyś było aż 9 województw: pomorskie, chełmińskie, inowrocławskie, brzesko - kujawskie, łęczyckie, sieradzkie, kaliskie, poznańskie i gnieźnieńskie. Dziś obszar ten zamieszkuje zgórą 5 miljonów ludzi, a więc ilość województw mogłaby być zredukowana do 5.

Na południe od prowincji wielkopolskiej, kraj między pasem wyżyn południowych a Karpatami oddawna nosił nazwę Małopolski. W ostatnich latach istnienia Rzeczypospolitej, Małopolska sięgała znacznie dalej, obejmując cały pas wyżyn południowych aż po Karpaty i południową granicę Rzeczypospolitej. Zawsze jednak dolina Wisły i Sanu dzieliła wyraźnie Małopolskę właściwą od przyłączonych doń ziem wschodnich. I dziś tę granicę należy zachować i kraj pomiędzy północnemi stokami wyżyny śląsko—małopolskiej a Karpatami, na wschodzie oparty o dolinę Wisły i Sanu, a na zachodzie o granicę państwa, powinien stanowić drugą prowincję: krakowską czyli małopolską. Prowincja ta sięgałaby dziś nieco dalej na zachód, niż w r. 1771, gdyż śladem księstw: siewierskiego, zatorskiego i oświęcimskiego, naturalną koleją rzeczy, wchłonęłaby w siebie dalsze skrawki Śląska, wcielone do Rzeczypospolitej. Dziś na tym obszarze, na którym niegdyś były tylko 2 województwa: krakowskie i sandomierskie, mieszka zgórą 5 miljonów ludzi, przeto, podobnie jak prowincję wielkopolską, należałoby go podzielić na 5 województw.

Na wschód od właściwej Małopolski, pomiędzy Karpatami a pasem wielkich dolin, rozciąga się kraj, który wyraźnie dzieli się na 2 części: północną wyżynę lubelsko—wołyńską i teren urozmaicony pomiędzy Roztoczem, Opolem i Podolem a Karpatami.

Pierwsza z nich, złożona niegdyś z woj. lubelskiego, ziemi chełmskiej, woj. bełskiego i wołyńskiego, dziś zamieszkana przez 3 miljony ludności, stanowiłaby prowincję lubelską, która powinna składać się z 3 województw.

Druga, złożona niegdyś z województwa ruskiego i części podolskiego, dzieliła się na ziemię sanocką, przemyską, lwowską i halicką. Dziś, zamieszkana przez blisko 5 miljonów ludzi, powinnaby składać się z 5 województw.

Dawna prowincja litewska, położona na północ od wyżyny wołyńskiej, oparta na wschodzie o granicę państwową, na północy o Dźwinę, na zachodzie granicząca z Republiką Litewską i Podlasiem, tak jak ongiś na tym obszarze posiadała 3 województwa: wileńskie, nowogródzkie i brzesko—litewskie, dziś, licząc około 3 miljonów mieszkańców, powinna posiadać tę samą ilość województw.

Wreszcie ostatnia prowincja — mazowiecka, złożona z obszaru historycznego Mazowsza oraz pomostu, jaki stanowi Podlasie pomiędzy Mazowszem i wyżyną litewsko-białoruską z jednej, a pasem dolin południowych z drugiej strony, zamieszkana przez blisko 4 miljony ludności, powinna składać się z 4 województw.

Wszystkie te prowincje, mające swe naturalne granice geograficzne, uzasadnione rozwojem historycznym, byłyby podstawą racjonalnego podziału terytorjalnego państwa, gdyby Rzeczpospolitą podzielić na prowincje, złożone z kilku województw.

Po tym ogólnym wstępie przejdźmy do szczegółowego rozpatrzenia prowincyj.

Prowincja wielkopolska.

Prowincja wielkopolska, na północy oparta o morze i granicę Wolnego Miasta Gdańska, na zachodzie — o granicę Rzeszy Niemieckiej, oddzielona od prowicji małopolskiej dolną Wartą i środkową Pilicą, dopływami Bzury: Mrogą i Ochnią oraz Skrwą, powinna obejmować całe dzisiejsze Pomorze (t. j. dawne woj. pomorskie i chełmińskie, bez powiatu działdowskiego, który, jako część składowa Mazowsza Pruskiego, powinien być i dziś do Mazowsza zaliczony), całą dzisiejszą Wielkopolskę i woj. łódzkie

(t. j. dawne woj. gnieźnieńskie, poznańskie, kaliskie, sieradzkie i łęczyckie) oraz Kujawy, t. j. dawne woj. inowrocławskie i brzesko-kujawskie, czyli dzisiejsze powiaty: włocławski, nieszawski, lipnowski i rypiński woj. warszawskiego.

Prowincja ta powinna składać się z 5 województw, a mianowicie z woj. pomorskiego (bez jego wschodniej części, t. j. b. woj. chełmińskiego) i woj. poznańskiego (w granicach zmniejszonych do dawnych granic historycznych), dalej woj. kalisko-sieradzkiego (z odnośnych dwóch dawnych województw), woj. łódzkiego (zamiast dawnego łęczyckiego) oraz woj. kujawsko-chełmińskiego (zamiast dawnego chełmińskiego, brzesko-kujawskiego i ziemi dobrzyńskiej).

Dla wszystkich tych województw punktem środkowym jest Poznań, połączony linjami kolejowemi: Poznań — Ostrów — Łódź, Poznań — Bydgoszcz — Gdynia, Poznań — Gniezno — Toruń, ze wszystkiemi głównemi ośrodkami gospodarczemi prowincji.

Poznań nie jest wprawdzie największem miastem tej prowincji (jest niem Łódź), ale ze względu na swą starą kulturę, zabytki uniwersytet, towarzystwa naukowe, wszechstronnie rozwinięty przemysł i handel, jest naturalnym ośrodkiem gospodarczo-kulturalnym, podczas gdy Łódź lub Bydgoszcz muszą zadowolnić się rolą skromniejszą: pierwsza — stolicy przemysłu włókienniczego, druga — stolicy handlu, zwłaszcza drzewnego.

Województwo pomorskie w dzisiejszym składzie łączy mechanicznie ziemie wchodzące w skład b. Prus Zachodnich, które historycznie i geograficznie nie mają z sobą wiele wspólnego. Ziemia chełmińska, oddzielona Wisłą, powinna utworzyć odrębne województwo. Natomiast naturalna granica południowa Pomorza to Noteć, a więc północne powiaty woj. poznańskiego powinny być do Pomorza przyłączone. Wówczas naturalną stolicą Pomorza staje się Bydgoszcz, która jako największy w Polsce port rzeczny, połączony z Wisłą i morzem, będzie odgrywała rolę stolicy Pomorza dopóty, dopóki własny port morski nie zastąpi całkowicie dawnej stolicy — Gdańska.

Województwo to w tym składzie będzie posiadało we wszystkich kierunkach dogodne połączenia wzdłuż szlaków: Bydgoszcz—Gdynia, Bydgoszcz — Tczew — Gdańsk, Bydgoszcz—Toruń, Bydgoszcz — Inowrocław, Bydgoszcz — Nakło — Piła, Bydgoszcz—Wągrowiec—Poznań.

Na podstawie spisu ludności z r. 1921, [1]) województwo to liczyłoby:

pow.	Puck	27.826	mieszk.
„	Wejherowo	43.809	„
„	Kartuzy	64.782	„
„	Kościerzyna	49.563	„
„	Tczew	35.790	„
„	Starogard	63.166	„
„	Chojnice	71.232	„
„	Gniew	27.328	„
„	Świecie	83.927	„
„	Tuchola	34.557	„
„	Sępolno	27.837	„
	Razem:	529.817	mieszk.

z dzisiejszego woj. pomorskiego; ponadto północne powiaty dzisiejszego woj. poznańskiego, a mianowicie:

m.	Bydgoszcz	87.848	mieszk.
pow.	Bydgoszcz	52.728	„
„	Wyrzysko	63.092	„
„	Szubin	45.643	„
„	Chodzicz	42.586	„
	Razem:	291.897	mieszk.

W ten sposób nowe woj. pomorskie liczyłoby łącznie 821.714 mieszkańców wobec 939.435, które liczy obecne woj. pomorskie.

Województwo chełmińsko-kujawskie, proponowane już przez posła Erdmana, składałoby się z powiatów pomorskich, znajdujących się na prawym brzegu Wisły, z dawnej ziemi dobrzyńskiej (pow. Rypin i Lipno) oraz z Kujaw, t. j. pow. Włocławek, Nieszawa, Inowrocław, Strzelno, Mogilno.

Województwo to, stworzone ze skrawków trzech dzisiejszych województw (warszawskiego, poznańskiego i pomorskiego), połączyłoby ziemie związane tradycjami historycznemi, przekreśliłoby raz na zawsze granice zaborów.

Na stolicę tego województwa nadawałby się najbardziej Włocławek, jako stolica żyznych Kujaw, gdyby nie fatalne połączenia komunikacyjne tego miasta z resztą województwa. Z tych głównie względów stolica musiałaby być w Toruniu.

[1]) Miesięcznik Statystyczny. Tom V. Zeszyt 5. 1922.

Toruń jest dziś już siedzibą województwa, ma przytem dogodne połączenia we wszystkich kierunkach: Toruń — Grudziądz, Toruń—Jabłonowo—Brodnica—Lidzbark, Toruń—Włocławek, Toruń—Inowrocław, Toruń—Bydgoszcz wreszcie Toruń—Lubicz—Lipno.

Województwo to liczyłoby:

m.	Toruń	39.335	mieszk.
pow.	Toruń	54.002	„
„	Chełmno	47.081	„
„	Grudziądz	43.369	„
m.	Grudziądz	33.817	„
„	Wąbrzeźno	47.123	„
„	Lubawa	59.765	„
„	Brodnica	61.266	„
	Razem:	385.958	mieszk.

z dawnego woj. pomorskiego, a ponadto

pow.	Włocławek	124.592	mieszk.
„	Nieszawa	101.688	„
„	Rypin	78.306	„
„	Lipno	93.392	„
	Razem:	397.978	mieszk.

z woj. warszawskiego, oraz:

pow.	Inowrocław	75.921	mieszk.
„	Strzelno	39.921	„
„	Mogilno	50.040	„
	Razem:	165.882	mieszk.

z woj. poznańskiego. Razem województwo liczyłoby prawie miljon mieszkańców (948.818), t. j. mniej więcej tyle, ile liczy dzisiejsze woj. pomorskie.

Województwo poznańskie w dzisiejszych granicach liczy prawie 2 miljony mieszkańców, a więc zarówno w stosunku do dzisiejszego woj. pomorskiego, jak i projektowanych wyżej województw, jest stanowczo za wielkie. Przyczyną takiego rozrostu woj. poznańskiego jest wcielenie doń w czasie zaborów szeregu powiatów z dawnych województw: kaliskiego i sieradzkiego, jak również całkowite włączenie woj. gnieźnieńskiego. Jeżeli odejmiemy powiaty, należące niegdyś do innych województw, to województwo poznańskie, albo lepiej — poznańsko-gnieźnieńskie, bę-

dzie jeszcze nieco większem województwem, niż dwa poprzednio omówione, ale dzielić go już nie potrzebujemy.

W ten sposób województwo to składałoby się z powiatów

pow.	Czarnków	36.115	mieszk.
„	Międzychów	30.478	„
„	N. Tomyśl	50.252	„
„	Wolsztyn	48.965	„
„	Leszno	54.435	„
„	Rawicz	48.620	„
„	Gostyń	48.947	„
„	Śmigiel	38.569	„
„	Kościan	48.631	„
„	Grodzisk	36.675	„
„	Szamotuły	65.945	„
„	Oborniki	55.258	„
Poznań - miasto		169.793	„
pow.	Poznań	99.867	„
„	Śrem	57.557	„
„	Gniezno	56.740	„
„	Wągrowiec	54.409	„
„	Września	41.290	„
„	Znin	41.467	„
„	Środa	49.339	„
„	Witkowo	30.231	„
Razem:		1.163.583	mieszk.

Zmniejszone woj. poznańskie będzie liczyło niewiele ponad miljon mieszkańców, zachowa wszystkie historycznie należące do tego województwa powiaty i utrzyma linje kolejowe, które łączą Poznań ze wszystkiemi stronami województwa w kierunku na Zbąszyń, Międzychów, Wieluń, Oborniki — Rogoźno, Wągrowiec, Gniezno, Wrześnię, Środę, Kościan—Leszno, Grodzisk—Wolsztyn.

Województwo kaliskie, albo kalisko-sieradzkie, byłoby złożone z dawnych województw: kaliskiego i sieradzkiego, które niegdyś tworzyły jedną całość; wskutek stuletniego rozdziału pomiędzy dwa zabory, nie tworzą dziś jednolitego pod względem komunikacyjnym terenu. Z chwilą jednak wybudowania kolei Wieluń—Inowrocław, województwo to będzie ujęte w czworokąt linij kolejowych Września — Koło — Wieluń — Kępno, w którego środku znajdować się będzie stolica województwa — Kalisz.

Na województwo to złożą się powiaty obecnego woj. poznańskiego:

pow.	Jarocin	54.383	mieszk.
„	Koźmin	34.492	„
„	Krotoszyn	44.758	„
„	Pleszew	38.252	„
„	Ostrów	48.001	„
„	Odolanów	43.717	„
„	Ostrzeszów	40.374	„
„	Kępno	52.718	„
	R a z e m:	356.705	mieszk.

oraz powiaty woj. łódzkiego:

pow.	Słupca	92.729	mieszk.
„	Konin	98.844	„
„	Koło	115.571	„
„	Turek	102.158	„
„	Kalisz	180.163	„
„	Sieradz	155.232	„
„	Wieluń	181.335	„
	R a z e m:	926.032	mieszk.

czyli łącznie województwo to liczyłoby znowu niewiele więcej ponad miljon mieszkańców (1.287.737).

Województwo łódzkie, albo, jeśli miałoby stać się zadość tradycji — województwo łęczyckie, z siedzibą w Łodzi, byłoby województwem nawskroś przemysłowem, obejmującem cały obszar przemysłu włókienniczego. Jakkolwiek niewielkie pod względem obszaru (jak zresztą niewielkie było dawne woj. łęczyckie), województwo to byłoby dość wielkie pod względem ilości mieszkańców, a to zarówno ze względu na siedzibę województwa (Łódź), jak i na liczne miasta przemysłowe (Pabjanice, Zgierz, Tomaszów, Ozorków). Województwo to, wzdłuż linji Radomsko — Piotrków — Łódź — Zgierz — Kutno, przecinającej się z linją Łowicz — Zgierz — Łódź — Łask — Sieradz, ma dogodne komunikacje z siedzibą województwa, które zwłaszcza polepszyłyby się w razie zrealizowania istniejącego oddawna projektu budowy linji bezpośreniej Łódź — Piotrków.

Województwo to składałoby się z części dzisiejszego woj. łódzkiego, a mianowicie:

m.	Łódź	451.813	mieszk.
pow.	Łódź	109.464	„
„	Brzeziny	125.562	„
„	Łask	148.965	„

pow. Łęczyca	122.397	mieszk.
„ Piotrków	197.464	„
Razem:	1.155.665	mieszk.

i liczyłoby znowu niewiele więcej ponad miljon mieszkańców. W ten sposób prowincja wielkopolska byłaby złożona z 5 województw, z których każde liczyłoby mniej więcej tę samą ilość ludności.

Prowincja małopolska.

Prowincja małopolska, granicząca od północy z prowincją wielkopolską i mazowiecką, oddzielona doliną Wisły i Sanu od prowincyj wschodnich, na południu i zachodzie dotyka granicy Rzeczypospolitej. Obejmując dawne woj. krakowskie i sandomierskie, a dzisiejsze śląskie, krakowskie i kieleckie, liczy około 5 miljonów mieszkańców i powinna składać się z 5 województw, a mianowicie z istniejących dziś województw: krakowskiego (które ze względu na obszar, a zwłaszcza ludność — 2 miljony — trzeba podzielić na 2 województwa: krakowskie i tarnowskie), śląskiego i kieleckiego, które również trzeba podzielić na 2 województwa, ze względu na blisko $2^1/_2$ miljonową ludność.

W ten sposób w skład prowincji małopolskiej, prócz woj. krakowskiego, śląskiego i kieleckiego, które ze względów historycznych mogłoby nosić nazwę sandomierskiego, z siedzibą w największem mieście tego obszaru — Radomiu, powinny wejść dwa nowe województwa: tarnowskie, stworzone z części woj. krakowskiego, i częstochowskie, stworzone z części woj. kieleckiego.

Dla wszystkich tych województw punktem centralnym jest Kraków, połączony z głównemi ośrodkami tej prowincji bezpośredniemi linjami kolejowemi: Kraków—Oświęcim—Katowice, Kraków—Trzebinia — Ząbkowice — Częstochowa, Kraków — Miechów—Kielce—Radom, Kraków — Tarnów i t. d. Na przestrzeni Kraków — Miechów projektuje się w najbliższym czasie wybudowanie linji, któraby znacznie skróciła dotychczasową okrężną drogę na Trzebinię i Strzemieszyce.

Kraków jest największem miastem tej prowincji, posiada tradycję stolicy, zabytki, Akademję Umiejętności, Uniwersytet, Akademję Górniczą, i choć nie jest takim ośrodkiem przemysłu, jak Radom lub Częstochowa, ani górnictwa, jak Katowice, jednakże żadne z tych miast rywalizować nawet o godność stolicy tej prowincji nie może.

1) OBECNE WŁADZE II INSTANCJI.

Ministerstwo	Ilość	S	I	E	D	Ż	I	B	Y								
Spr. Wewn.	17	Warszawa (2)	Białystok	Wilno	Nowogródek	Brześć n./.B	Lublin	Łuck	Tarnopol	Stanisławów	Lwów	Kielce	Kraków	Katowice	Łódź	Poznań	Toruń
Spr. Wojsk.	10	Warszawa	—	Grodno	—	Brześć n. B.	Lublin	—	—	—	Lwów	Przemyśl	Kraków	—	Łódź	Poznań	Toruń
Skarbu	12	Warszawa	Białystok	Wilno	—	Brześć n./B.	Lublin	Łuck	—	—	Lwów	Kielce	Kraków	—	Łódź	Poznań	Grudziądz
Sprawiedl.	8	Warszawa	—	Wilno	—	—	Lublin	—	—	—	Lwów	—	Kraków	Katowice	—	Poznań	Toruń
W. R. i O. P.	11	Warszawa	Białystok	Wilno	—	Brześć n./B.	Lublin	Łuck	—	—	Lwów	—	Kraków	Katowice	—	Poznań	Toruń
Komunikacji	9	Warszawa	—	Wilno	—	—	Radom	—	—	Stanisławów	Lwów	—	Kraków	Katowice	—	Poznań	Gdańsk
Poczt i Telegr.	9	Warszawa	—	Wilno	—	—	Lublin	—	—	—	Lwów	—	Kraków	Katowice	—	Poznań	Bydgoszcz Gdańsk
Pracy i Op. Społ.	11	Warszawa	Białystok	Wilno	—	—	Lublin	—	—	Stanisławów	Lwów	Kielce	Kraków	—	Łódź	Poznań	Toruń
Reform. Rolnych	14	Warszawa	Białystok	Wilno	—	Brześć n./B.	Lublin	Łuck	—	—	Lwów	Kielce	Kraków	—	Piotrków	Poznań	Grudziądz

2) PROJEKTOWANE WŁADZE II INSTANCJI.

MINISTERSTWO	ILOŚĆ	NAZWA WŁADZY	Zwiększenie o	Zmniejszenie o	UWAGI
Spraw Wewnętrznych	25 [3])	urząd wojewódzki [1])	8	—	
Skarbu	25 [3])	izba skarbowa	13	—	
Spraw Wojskowych	6 [2])	dowództwo okręgu wojskowego	—	4	
Sprawiedliwości	6 [2])	sąd apelacyjny	—	2	
W. R. i O. P.	6 [2])	kuratorjum	—	5	
Komunikacji	6 [2])	dyrekcja kolejowa	—	3	
Poczt i Telegrafów	6 [2])	dyrekcja poczt i telegrafów	—	3	
Pracy i Opieki Społecznej	25 [3])	inspekcja pracy	14	—	
Reform Rolnych	25 [3])	urząd ziemski	11	—	
Robót Publicznych	6 [2])	dyrekcja dróg wodnych	2	—	

[1]) Łącznie z woj. wydziałami rolnictwa, przemysł., pracy i op. społ. oraz robót publ.

[2]) w Warszawie, Poznaniu, Krakowie, Lwowie, Lublinie i Wilnie.

[3]) w Warszawie (2), w Płocku, Białymstoku, Poznaniu, Bydgoszczy, Toruniu, Kaliszu, Łodzi, Krakowie, Tarnowie, Radomiu, Częstochowie, Katowicach, Lwowie, Przemyślu, Drohobyczu, Stanisławowie, Tarnopolu, Lublinie, Zamościu, Kowlu, Brześciu n./B., Grodnie i Wilnie.

Załącznik Nr. 1. Do art. mjr. S. G. Romana Starzyńskiego „Projekt podziału terytorjalnego Rzeczypospolitej". Bellona. Tom XXX. Zesz. 2. Maj 1928.

Województwo krakowskie w dzisiejszym stanie jest tylko dawną Galicją Zachodnią. Nie obejmuje ono powiatów, które ongiś do woj. krakowskiego należały i które dziś doń ciążą, jak Miechów, Jędrzejów, Pińczów; z drugiej strony, obejmuje ono „galicyjską" część woj. sandomierskiego (Tarnów) oraz ongiś oderwane od Śląska księstwa: oświęcimskie i zatorskie.

Wobec tego, oddzieliwszy powiaty zachodnie, stanowiące niegdyś część Śląska, oraz zachodnią część województwa—Tarnowskie, które niegdyś należało do woj. sandomierskiego, możemy zmniejszyć to województwo, nawet po przyłączeniu ciążących do Krakowa powiatów Kieleckiego.

Tak zmniejszone województwo rozciągnie się wzdłuż linji Jędrzejów—Miechów (projektowana)—Kraków—Sucha—Chabówka—Zakopane z kilku linjami poprzecznemi.

Województwo to w nowych granicach będzie liczyło:

pow.	Jędrzejów	99.978	mieszk.
„	Miechów	149.130	„
„	Pińczów	120.391	„
m.	Kraków	181.700	„
pow.	Kraków	66.333	„
„	Myślenice	88.649	„
„	N. Targ	78.430	„
„	Podgórze	39.937	„
„	Limanowa	78.189	„
„	spisko-orawski	22.684	„
„	Bochnia	107.877	„
„	Wieliczka	68.115	„
	Razem:	1.100.413	mieszk.

W ten sposób województwo krakowskie liczyłoby niewiele ponad miljon mieszkańców, zamiast obecnych 2 miljonów.

Województwo tarnowskie, stworzone ze wschodniej części woj. krakowskiego wraz z należącemi dawniej do woj. sandomierskiego powiatami: Kolbuszowa, Tarnobrzeg i Nisko, dziś włączonemi niesłusznie do woj. lwowskiego, rozciągałoby się wzdłuż linji: Tarnobrzeg—Dębica—Tarnów—N. Sącz—Krynica, przeciętej dwiema równoległemi linjami: Bochnia – Tarnów — Rzeszów oraz Chabówka—N. Sącz—Jasło. Naturalną stolicą tego województwa jest jego punkt środkowy, a zarazem największe miasto tego obszaru—Tarnów.

W skład tego województwa weszłyby powiaty:

Dąbrowa	33.309	mieszk.
Tarnów	107.956	„
Mielec	72.573	„
Kolbuszowa	67.076	„
Nisko	60.963	„
Tarnobrzeg	71.839	„
Ropczyce	76.008	„
Pilzno	47.236	„
Jasło	85.296	„
Gorlice	41.151	„
Grybów	51.909	„
N. Sącz	130.629	„
Brzesko	96.217	„
Razem:	941.962	mieszk.

Województwo sandomierskie, ze stolicą w Radomiu, powstałoby ze zmniejszonego woj. kieleckiego; obejmowałoby ono prawie całe dawne woj. sandomierskie z wyjątkiem powiatów, któreby odeszły do woj. tarnowskiego, oraz drobnych skrawków—do innych województw. Województwo przecięte linjami kolejowemi: Dęblin—Radom—Skarżysko—Kielce oraz Tomaszów — Skarżysko — Ostrowiec - Sandomierz, w niedługim czasie ma otrzymać trzecią linję: Warszawa—Radom—Ostrowiec, ma przeto swą naturalną stolicę w największem mieście tego obszaru—Radomiu, gdzie tworzy się obecnie ośrodek przemysłu żelaznego.

W skład tego województwa weszłyby powiaty:

Opoczno	122.798	mieszk.
Końskie	144.832	„
Radom	193.159	„
Kozienice	124.097	„
Iłża	137.689	„
Opatów	162.488	„
Sandomierz	111.950	„
Kielce	179.449	„
Stopnica	140.485	„
Razem:	1.316.887	mieszk.

Województwo częstochowskie powstałoby z reszty woj. kieleckiego. Jest to województwo nawskroś przemysłowe, podobnie jak woj. śląskie. Najbardziej pożądane byłoby połączenie tego województwa z woj. śląskiem w jedną jednostkę terytorjalną. Po-

nieważ jednak na tym obszarze zamieszkuje blisko $2^1/_2$ miljona mieszkańców, przeto nie pozostaje nic innego, jak podzielenie obszaru górniczo - przemysłowego na 2 województwa. Przytem, aby stało się zadość zasadzie przekreślenia granic zaborów, byłoby pożądane, aby w skład woj. częstochowskiego weszły powiaty bliżej związane z tym terenem: Lubliniec i Tarnowskie Góry—z jednej strony, a Chrzanów—z drugiej. Województwo to, rozłożone wzdłuż linji: Radomsko—Częstochowa—Zawiercie—Ząbkowice—Trzebinia — Chrzanów, z licznemi odnogami: Lubliniec — Włoszczowa, Ząbkowice — Będzin — Sosnowiec, Strzemieszyce — Olkusz — Miechów, ma dogodne warunki komunikacyjne i będzie składało się z powiatów:

pow. Częstochowa	234.387	mieszk.
„ Będzin i Zawiercie	386.678	„
„ Chrzanów	116.692	„
„ Radomsko	169.950	„
„ Włoszczowa	90.709	„
„ Olkusz	135.994	„
„ Lubliniec i T.Góry	ok.100.000	„
Razem:	ok. 1.234.810	mieszk.

Województwo śląskie po oddzieleniu odeń północnych powiatów: lublinieckiego i tarnowsko-górskiego, a przyłączeniu należących niegdyś do Śląska powiatów: oświęcimskiego, bialskiego i żywieckiego, liczyłoby:

Górny Śląsk (bez Lublińca i T. Gór)	ok. 880.000	mieszk.
Śląsk Cieszyński	145.232	„
pow. Oświęcim	51.813	„
„ Biała	81.708	„
„ Żywiec	109.457	„
Razem:	ok. 1.268.200	mieszk.

Wszystkie więc województwa prowincji małopolskiej liczyłyby około miljona mieszkańców każde.

Prowincja czerwonoruska.

Prowincja czerwonoruska, w swych historycznych granicach, zmniejszona o woj. bełskie i ziemię chełmską, zredukowałaby się do dawnego woj. ruskiego ze stolicą we Lwowie, które, będąc

już ongiś jednem z największych województw Rzeczypospolitej, tem więcej dziś musiałoby rozpaść się na szereg województw. Niegdyś składało się ono z ziemi przemyskiej, sanockiej, lwowskiej i halickiej; dziś trzebaby tę prowincję podzielić na tyleż województw, z dodaniem woj. podolskiego, gdyż część Podola wchodzi dziś w skład Rzeczypospolitej.

Prowincja ta, granicząca na zachodzie z prowincją małopolską, na południu oparta o Karpaty, na wschodzie — o granicę sowiecką, od północy graniczyłaby z prowincją lubelsko-wołyńską.

Licząc około 5 miljonów ludności, prowincja ta składałaby się z 5 województw, zamiast dzisiejszych 3-ch. Obok woj. lwowskiego), podolskiego (tarnopolskiego), halickiego (stanisławowskiego), trzeba stworzyć woj. przemyskie oraz sanockie z siedzibą w Drohobyczu, jako ośrodku przemysłu naftowego, który nadałby temu województwu specjalny charakter.

Dla wszystkich tych województw, połączonych dogodnemi linjami kolejowemi ze Lwowem (Przemyśl — Sądowa Wisznia — Lwów, Drohobycz — Stryj—Lwów, Stanisławów—Halicz—Lwów, Tarnopol—Złoczów—Lwów), naturalnym ośrodkiem będzie znów starożytny Lwów, jako główny ośrodek kulturalny (uniwersytet, politechnika, liczne towarzystwa naukowe) i gospodarczy, (Targi Wschodnie), górujący również nad wszystkiemi innemi miastami liczbą mieszkańców.

Województwo przemyskie, stworzone z dawnej ziemi przemyskiej, bez jej południowej części, która łącznie z ziemią sanocką tworzy ośrodek przemysłu naftowego, będzie stanowiło najmniejsze stosunkowo województwo tej prowincji. Rozłożone wzdłuż linji kolejowej: Rzeszów — Przeworsk — Jarosław — Przemyśl—Sądowa Wisznia z kilku rozgałęzieniami, stanowi obszar, posiadający swój główny punkt centralny w Przemyślu, największem mieście tego obszaru. Składałoby się ono z powiatów:

pow.	Rzeszów	142.394	mieszk.
„	Strzyżów	56.880	„
„	Łańcut	89.347	„
„	Przeworsk	57.663	„
„	Przemyśl	146.744	„
„	Mościska	84.031	„
„	Brzozów	78.978	„
„	Dobromil	69.968	„
„	Cieszanów	81.455	„
„	Jaworów	81.094	mieszk.
	Razem:	908.554	mieszk.

Województwo lwowskie składałoby się z powiatów istotnie położonych najbliżej Lwowa i wchodzących w skład dawnej ziemi lwowskiej (dziś częściowo należących do woj. tarnopolskiego) z wyjątkiem powiatów południowych, które i dziś należą do woj. stanisławowskiego. Z dzisiejszego woj. lwowskiego, liczącego ponad 2½ miljona mieszkańców, byłyby utworzone 2 nowe województwa: przemyskie i sanockie.

W ten sposób województwo lwowskie, rozłożone wzdłuż linji Sądowa Wisznia — Lwów — Krasne — Brody z licznemi odgałęzieniami, połączone ze wszystkiemi głównemi miastami tego obszaru, składałoby się z następujących powiatów:

m.	Lwów	219.193	mieszk.
pow.	Lwów	149.704	„
„	Gródek	72.234	„
„	Rudki	73.614	„
„	Żółkiew	90.460	„
„	Kamionka	69.142	„
„	Radziechów	68.282	„
„	Złoczów	107.175	„
„	Brody	75.017	„
„	Przemyślany	79.584	„
	Razem:	943.766	mieszk.

Województwo sanockie, z siedzibą w Drohobyczu, powstałoby z dawnej ziemi sanockiej, rozszerzonej przez przyłączenie doń południowej części ziemi przemyskiej, aby całe Podkarpacie, od Krosna po Stryj, zawierające bogactwa naftowe, znalazło się w jednej jednostce terytorjalno-administracyjnej. Województwo to, rozciągnięte wzdłuż linji kolejowej, zwanej niegdyś „transwersalną", od Krosna przez Sanok — Lisko — Chyrów — Sambor — Drohobycz — Stryj, biegnącej aż do Stanisławowa, miałoby znakomite warunki komunikacyjne. W skład tego województwa weszłyby następujące powiaty:

pow.	Krosno	81.326	mieszk.
„	Sanok	102.365	„
„	Lisko	92.721	„
„	St. Sambor	54.821	„
„	Sambor	105.453	„
„	Drohobycz	163.784	„
„	Turka	76.713	„
„	Stryj	72.160	„
„	Skole	48.026	„
„	Żydaczów	77.071	mieszk.
„	Dolina	101.922	„
	Razem:	976.362	mieszk.

Województwo halickie, w myśl projektu posła Erdmana, z tradycyjną nazwą dawnej ziemi halickiej, z siedzibą w Stanisławowie, byłoby zmniejszonem nieco dzisiejszem woj. stanisławowskiem, rozciągającem się wzdłuż linji: Chodorów — Halicz —Stanisławów—Kołomyja—Śniatyn, i składającem się z powiatów:

pow.	Rohatyn	109.344	mieszk.
„	Kałusz	87.553	„
„	Stanisławów	133.765	„
„	Bohorodczany	56.989	„
„	Nadwórna	77.520	„
„	Tłumacz	104.840	„
„	Bóbrka	82.426	„
„	Peczeniżyn	43.029	„
„	Horodenka	83.599	„
„	Kosów	77.275	„
„	Kołomyja	119.687	„
„	Śniatyn	78.988	„
	Razem:	1.055.515	mieszk.

Województwo podolskie, również tak nazwane przez posła Erdmana, byłoby zmniejszonem nieco dzisiejszem woj. tarnopolskiem. Województwo to rozporządzałoby linją pionową: Zbaraż—Tarnopol—Trembowla—Kopyczyńce—Czortków—Zaleszczyki, oraz 2 poprzecznemi: Złoczów — Tarnopol — Podwołoczyska i Stanisławów—Buczacz Kopyczyńce—Husiatyn z kilkoma odgałęzieniami. Składałoby się z powiatów:

Zborów	72.332	mieszk.
Zbaraż	65.447	„
Tarnopol	125.787	„
Skałat	86.296	„
Trembowla	71.800	„
Brzeżany	93.599	„
Podhajce	81.949	„
Buczacz	116.734	„
Czortków	68.886	„
Kopyczyńce	85.918	„
Borszczów	94.131	„
Zaleszczyki	67.048	„
Razem:	1.030.424	mieszk.

W ten sposób prowincja czerwonoruska, podzielona dziś ze względów politycznych na 3 województwa, z których woj. lwowskie jest nienaturalnie wielkie, byłaby podzielona na 5 zupełnie prawie równych województw o naturalnych granicach, z pośród których 2 województwa (obecnie jedno) miałyby większość pol-

ską, 3 natomiast (obecnie dwa) miałyby większość ruską. Według mego projektu, woj. przemyskie (63% Polaków) i woj. lwowskie (50,2% Polaków) miałyby większość polską, gdy obecne woj. lwowskie ma 56,1% Polaków; natomiast woj. halickie (22,5% Polaków zam. 21,8%, które posiada obecne woj. stanisławowskie), woj. podolskie (46,5% Polaków, zamiast 44,3%, które posiada obecne woj. tarnopolskie) i wreszcie woj. sanockie (36% Polaków) posiadałyby większość ruską.

Prowincja lubelsko-wołyńska.

Prowincja ta jest wynikiem oderwania się Lublina od Krakowa, a Wołynia od Kijowa i z tego powodu jest tworem pozornie sztucznym, który powstałby z dawnego woj. lubelskiego, bełskiego, wołyńskiego i ziemi chełmskiej.

Od południa graniczyłaby ona z prowincją czerwonoruską wzdłuż dawnej granicy południowej woj. lubelskiego, od wschodu —z Rosją sowiecką, od północy—z prowincją wileńską i mazowiecką, od zachodu Wisła dzieliłaby ją od prowincji małopolskiej.

Prowincja ta liczy niewiele więcej ponad 3 miljony mieszkańców i z tego powodu powinna składać się z 3 województw historycznych: lubelskiego, wołyńskiego i bełskiego wraz z ziemią chełmską. Siedzibą woj. bełskiego powinien być Zamość, jako największe, najruchliwsze i najkulturalniejsze miasto w tym obszarze. Wszystkie te województwa połączone są z Lublinem linjami: Równe — Kowel — Chełm — Lublin oraz Zamość— Rejowiec — Lublin, i mają naturalny ośrodek gospodarczy i kulturalny w największem mieście prowincji—Lublinie, posiadającym uniwersytet, towarzystwa naukowe, przemysł i rozwinięty handel.

Województwo wołyńskie w jego historycznych granicach byłoby zbyt wielkim obszarem. Z tych względów, zachodnie powiaty Wołynia: Włodzimierz i Horochów (nie licząc Lubomli, która ongiś należała do ziemi chełmskiej) proponuję wcielić do woj. bełskiego. Co się tyczy siedziby województwa, to powinna ona być jeśli nie w Równem, największem mieście wołyńskiem, ze względu na bliskość granicy, to w każdym razie w Kowlu, mającym dogodne połączenia we wszystkich kierunkach, a nie w leżącym na uboczu Łucku.

Województwo wołyńskie ma stosunkowo liczne linje kolejowe i dogodne połączenia we wszystkich kierunkach z Kowlem, ale nie z Łuckiem.

W skład województwa weszłyby następujące powiaty:

Krzemieniec	222.090	mieszk.
Ostróg	56.569	„
Równe	338.319	„
Łuck	195.037	„
Kowel	169.702	„
Dubno	210.792	„
Razem:	1.198.509	mieszk.

Województwo bełskie, z siedzibą w Zamościu, rozciągnięte wzdłuż linji: Włodawa—Chełm—Rejowiec—Zawada—Bełżec—Rawa Ruska, z przecznicami: Lublin—Rejowiec—Chełm—Kowel oraz Zawada—Zamość—Hrubieszów—Włodzimierz—Sokal, miałoby dogodne komunikacje i składałoby się z następujących powiatów:

Rawa Ruska	106.865	mieszk.
Sokal	99.583	„
Hrubieszów	103.591	„
Tomaszów	94.163	„
Zamość	142.486	„
Krasnystaw	116.360	„
Chełm	119.952	„
Luboml	56.101	„
Włodzimierz	101.680	„
Horochów	76.867	„
Razem:	1.015.648	mieszk.

Województwo to, pomimo włączenia doń kilku powiatów o znacznej przewadze ludności ruskiej, utrzyma jednak wyraźną przewagę polską, dochodzącą do 60% ogółu ludności.

Województwo lubelskie, liczące dziś zgórą 2 miljony mieszkańców, odda pewne pograniczne powiaty na rzecz innych województw; w ten sposób wróci do swych granic historycznych i będzie rozciągnięte wzdłuż linji kolejowej: Łuków — Radzyń — Lubartów—Lublin—Kraśnik—Rozwadów, z odnogami: Garwolin—Dęblin—Lublin i Dęblin—Łuków. Będzie ono składało się z następujących powiatów:

Janów	131.282	mieszk.
Lublin pow.	139.618	„
Lublin m.	94.478	„
Lubartów	96.519	„
Puławy	149.171	„
Radzyń	88.824	„
Łuków	122.824	„
Garwolin	137.589	„
Biłgoraj	90.877	„
Włodawa	76.771	„
Razem:	1.083.953	mieszk.

Cała więc prowincja, złożona z 3-ch, niemal równych, województw, składałaby się z czysto polskiego woj. lubelskiego, mieszanego, ze znaczną przewagą polską, woj. bełskiego i ruskiego woj. wołyńskiego.

Prowincja wileńska.

Historycznie biorąc, prowincja ta powinna nosić nazwę litewsko-białoruskiej, ale dziś, wobec istnienia niepodległej Republiki Litewskiej oraz Białejrusi sowieckiej, nazwa ta mogłaby wprowadzać w błąd. Z tych względów uważam, że należałoby poprzestać na nazwie „wileńska" lub „wschodnia".

Prowincja ta stanowiłaby dawną prowincję litewską o zmniejszonych granicach. Na północy, wschodzie i zachodzie graniczyłaby ona z państwami obcemi. Jedynie od południa i południowego zachodu graniczyłaby z prowincjami: lubelską i mazowiecką.

Prowincja ta, podobnie jak poprzednia, nie liczyłaby więcej, niż 3 miljony mieszkańców; powinna więc składać się z 3 dotychczasowych województw: wileńskiego, nowogródzkiego i poleskiego.

Wobec odcięcia od tej prowincji znacznych obszarów na na rzecz Litwy kowieńskiej i Białejrusi sowieckiej, Wilno znalazło sie prawie na samej granicy. Z tych powodów nie jest ono dziś dla tej prowincji takim dogodnym ośrodkiem komunikacyjnym, jakim było niegdyś. Mimo to, ma ono dotąd połączenia: Wilno — Grodno—Białystok—Brześć oraz Wilno—Lida—Baranowicze—Łuniniec i kilka pomniejszych, które łączą wszystkie ważniejsze ośrodki tej prowincji z Wilnem.

Województwo wileńskie, w dzisiejszym stanie, bez żadnych zmian, prócz może wyrównania granicy pow. wileńsko-trockiego i lidzkiego w rejonie Ejszyszek, liczyłoby ogółem miljon mieszkańców. Województwo to, dzięki dwom linjom kolejowym: Orany—Wilno—Święciany—Turmont i Mołodeczno—Wilejka—Kró-

lewszczyzna — Zahacie oraz dwom poprzecznym: Wilno — Mołodeczno i Podbrodzie—Królewszczyzna, ma połączenie większych ośrodków z Wilnem.

Składałoby się ono, jak dotąd, z powiatów:

Brasław	63.015	mieszk.	
Głębokie	171.650	„	
Duniłowicze	112.845	„	
Wilejka	127.958	„	
Oszmiana Święciany Wilno	488.968	„	(b. Litwa Środkowa)
Razem:	1.064.536	mieszk.	

Województwo nowogródzkie, rozszerzone nieco na zachód po linię Grodno—Białowieża, utrzymując historyczną swą nazwę, nie może nadal posiadać siedziby w małej dziś, odciętej od świata mieścinie, jaką jest Nowogródek, i powinno być przeniesione do największego miasta w tym rejonie, t. j. do Grodna. Grodno posiada dwie linje kolejowe: Grodno—Mosty—Lida—Mołodeczno oraz Grodno — Wołkowysk — Słonim — Baranowicze — Stołpce, które łączą je ze wszystkiemi miastami województwa.

Składałoby się ono z następujących powiatów:

Grodno	150.106	mieszk.
Wołkowysk	114.749	„
Wołożyn	118.591	„
Stołpce	74.222	„
Nieśwież	114.628	„
Baranowicze	104.801	„
Słonim	118.675	„
Lida	191.693	„
Nowogródek	101.721	„
Razem:	1.089.416	mieszk.

Województwo poleskie, w dzisiejszych granicach, byłoby rozszerzone nieco na zachód przez przyłączenie powiatów, które niegdyś wchodziły w skład tego województwa: Biała i Konstantynów. Województwo to posiada linję kolejową: Biała — Brześć — Kobryń—Pińsk—Łuniniec, i kilka odgałęzień. Liczyłoby ono:

obecne woj. poleskie	876.865	mieszk.
pow. Biała	59.544	„
„ Konstantynów	65.013	„
Razem:	991.422	mieszk.

Prowincja mazowiecka.

Prowincja mazowiecka w swych granicach historycznych, łącznie z Podlasiem, wchodzącem niegdyś dość nienaturalnie w skład Małopolski, graniczyłaby na północy z Mazowszem Pruskiem, na zachodzie z Wielkopolską, na południu z Małopolską i Lubelszczyzną, na wschodzie z Wileńszczyzną.

Prowincję tę zamieszkuje około 4 miljonów mieszkańców, z czego miljon przypada na stolicę — wobec tego powinna ona składać się z 4 województw, w tem jedno województwo grodzkie w Warszawie. Dziś na tym obszarze, prócz województwa grodzkiego, mamy tylko 2 województwa: warszawskie i białostockie. Niegdyś było ich 4: rawskie, płockie, mazowieckie i podlaskie. Wskrzeszając dawne nazwy, należałoby utworzyć obecnie 3 województwa: mazowieckie (warszawskie), podlaskie (białostockie), i płockie. Dawne woj. rawskie weszłoby w skład mazowieckiego.

Prowincja ta, dzięki posiadaniu na swem terytorjum stolicy państwa, ma liczne linje komunikacyjne, z których najważniejsza byłaby linja: Płock—Kutno—Łowicz—Warszawa—Małkinia—Białystok—Grodno.

Warszawa, będąc stolicą państwa, pozostałaby również stolicą prowincji.

Grodzkie województwo warszawskie, według spisu ludności z r. 1921, posiadało 931.176 mieszkańców, która to liczba jest dziś nieco wyższa, nie przekracza jednak zbytnio miljona.

Województwo mazowieckie, z siedzibą w Warszawie, stanowiłoby jedynie część obecnego woj. warszawskiego, liczącego ponad 2 miljony mieszkańców. Proponowane przeze mnie województwo, rozłożone wzdłuż linji: Kutno — Łowicz — Warszawa — Mińsk. Maz. — Siedlce, składałoby się z następujących powiatów:

Sochaczew	63.910	mieszk.
Łowicz	94.486	„
Błonie	115.568	„
Skierniewice	63.471	„
Rawa	83.621	„
Grójec	127.644	„

Mińsk Maz.	95.843	mieszk.
Warszawa	181.957	„
Radzymin	72.545	„
Siedlce	98.701	„
Węgrów	82.515	„
Razem:	1.080.291	mieszk.

Województwo płockie, wskrzeszone zgodnie z tradycją, obejmowałoby drugą połowę dzisiejszego woj. warszawskiego i rozciągałoby się wzdłuż linji kolejowej: Kutno — Płock (projektowana)—Sierpc—Nasielsk—Mława—Działdowo. Składałoby się z następujących powiatów:

Kutno	99.300	mieszk.
Gostynin	84.647	„
Płock	109.615	„
Płońsk	74.595	„
Sierpc	68.588	„
Ciechanów	68.427	„
Mława	88.920	„
Przasnysz	56.152	„
Działdowo	23.920	„
Pułtusk	106.365	„
Maków	58.444	„
Razem:	838.973	mieszk.

Województwo podlaskie, z siedzibą w Białymstoku, składałoby się z dzisiejszego woj. białostockiego bez jego wschodnich powiatów (Grodno i Wołkowysk), rozszerzonego nieco drogą przyłączenia pow. sokołowskiego. Województwo, to wzdłuż linij kolejowych: Małkinia — Białystok — Grodno i Grajewo — Białystok — Brześć, ma we wszystkich kierunkach dogodne połączenia z Białymstokiem.

Składałoby się z następujących powiatów:

Suwałki	70.512	mieszk.
Sejny	19.700	„
Augustów	62.089	„
Grajewo	57.968	„
Białystok	185.725	„
Sokółka	90.212	„
Bielsk	129.399	„
Białowieża	17.233	„
Wysokie Maz.	71.016	„

Łomża	101.793	mieszk.
Kolno	63.869	„
Ostrów	94.235	„
Ostrołęka	73.651	„
Sokołów	75.991	„
Razem:	1.113.395	mieszk.

W ten sposób wszystkie województwa prowincji mazowieckiej liczyłyby około miljona mieszkańców każde.

Zakończenie.

Rozpatrzywszy więc obecny podział terytorjalny Rzeczypospolitej, zasady racjonalnego podziału oraz konkretny projekt nowego podziału, spróbujmy zreasumować wszystko:

1) obecny podział Rzeczypospolitej jest dziełem przypadku i nie odpowiada elementarnym warunkom racjonalnego podziału;

2) próby naprawy nie dały wyników, gdyż nie uwzględniały dwojakiego rodzaju jednostek terytorjalnych II instancji, które są niezbędne z punktu widzenia poszczególnych władz;

3) oparcie przeto podziału na historycznych prowincjach, podzielonych na jednomiljonowe województwa, przy uwzględnieniu warunków geograficznych, historycznych, komunikacyjnych, gospodarczych i kulturalnych—powinno dać dobre wyniki.

Rzeczpospolita, podzielona na 6 prowincyj i 25 województw, posiadałaby władze wojskowe, sądowe, oświatowe, komunikacyjne—w siedzibach prowincyj, a władze administracyjne, pracy i reform rolnych—w siedzibach województw.

Ostateczny podział Rzeczypospolitej na nowe jednostki powinienby być dokonany w r. 1931, t. j. po nowym spisie ludności, pozwalającym uwzględnić wszelkie nadzwyczajne zmiany, jakie w ruchu ludności zaszły po r. 1921 (reemigracja z Rosji, emigracja do Francji), i powinien być oparty na całkowicie pewnych cyfrach. Już obecnie jednak należałoby rozpocząć prace przygotowawcze do nowego podziału administracyjnego państwa.

Z punktu widzenia budżetowego, powiększenie ilości województw nie powinno pociągnąć zbyt wielkich wydatków, gdyż równocześnie możnaby znacznie zredukować wydatki na te władze II instancji, których ilość zostałaby zmniejszona do ilości projektowanych prowincyj.

MJR. S. G. ROLA-ARCISZEWSKI.

STRATEGJA W PRZYGOTOWANIACH DO WIELKIEJ WOJNY. (II).

Stara doktryna niemiecka.

„Działanie będzie poprostu polegało na tem, że w uszykowaniu możliwie zwartem posuniemy się naprzód o kilka przemarszów, aż do spotkania wrogiej armji, by jej wtedy wydać bitwę".

„Ogólnym kierunkiem tego marszu jest stolica wroga, ponieważ w ten sposób będziemy mogli najpewniej osiągnąć cel naszej ofensywy — wrogie wojsko".

„Przy tym marszu naprzód będzie 2-ga armja w pierwszej linji, 4-ta armja w drugiej linji; oba boki będą zabezpieczone przez 1-szą i 3-cią armję. Nasza inicjatywa podyktuje pozatem prawa wrogowi".

„By przeprowadzić zebranie sił do bitwy, potrzebujemy jednego dnia, który musi nam zapewnić straż przednia armji. Dzięki niej będziemy mogli wogóle dowiedzieć się dokładnie, gdzie możemy spotkać przeciwnika. Musi więc być silna i to szczególnie w jazdę".

„Wydaje się wskazane nie przekraczać granicy wcześniej, jak dopiero w chwili, gdy będziemy każdego dnia w stanie przyjąć bitwę".

„Będzie można przeprowadzić marsz, grupując 2-gą i 4-tą armję w trzech głównych kolumnach i dwóch rzutach na froncie i głębokości marszu dziennego, tak, by zebranie 150.000 ludzi w centrum lub na jedno ze skrzydeł pierwszego rzutu mogło nastąpić jednym przemarszem".

Oto zasady doktryny głębokiego uszykowania: przedewszystkiem skupić się w jedną, zwartą masę i jednolitą bryłą posunąć się naprzód. Kierunek ruchu wybrać taki, aby zmusić przeciwni-

ka do reakcji. Zabezpieczyć się przeciwko zaskoczeniu przez tę reakcję, osłaniając boki masy uderzeniowej. Zbadać warunki użycia masy uderzeniowej zapomocą silnej straży przedniej. Być w stanie wyzyskać te warunki skupieniem uderzenia całości na jeden punkt.

Widząc taki „bataillon carré", mimowoli zastanawiamy się, który tom korespondencji Napoleona wziąć do ręki, aby poszukać w nim przytoczonego listu. Wybór trudny, gdyż prawie wszystkie kampanje Napoleona rozpoczynały się w ten spsoób.

Bezowocne byłyby jednak te poszukiwania. To nie Napoleon sformułował te słowa! Wyjęte są one z „Moltkes Militaerische Korrespondenz" i są planem działań przeciwko Francji, ustalonym 6 maja 1870 r.

Przykład ten nie jest bynajmniej w działalności Moltkego wyjątkiem. Wychowany na tradycjach napoleońskich, nie był on bynajmniej takim zwolennikiem osaczania, jak go przedstawia Schlieffen.

Zresztą Moltke wogóle nie wykazywał wyraźnej osobowości artystycznej, którąby charakterystycznie wyodrębniała jego twórczość. Moltke był jedynie wirtuozem, którego niezwykła inteligencja i rzadki zasób wiedzy pozwalały na odtworzenie każdego kierunku sztuki. W swoich studjach teoretycznych Moltke, jako wychowanek Clausewitza, zajmował się bardziej tłem, podłożem działań wojennych, niż samem ich przeprowadzeniem. Prócz tego, był on, zupełnie jak Clausewitz, raczej obserwatorem, niż propagatorem.

Podobną rolę odgrywał Moltke także jako kierownik operacyj. Jego plany, prawie bez wyjątku, były zupełnie przekręcane przez wykonawców, co Moltke przyjmował ze stoickim spokojem, mając w niezgłębionej skarbnicy swej wiedzy zawsze dość środków zaradczych, aby znaleźć sposób wyjścia z sytuacji [1]).

Nie mając wystarczającego autorytetu, nie mogąc, jako szef sztabu, występować ze stanowczością rozkazującego wodza, musiał Moltke, jak mówi Schlieffen, „nadawać swoim pomysłom formę uprzejmych rad i grzecznych przedstawień, dyrektyw i tym podobnych zabiegów". Jednak, jako prawdziwy stoik, powiedział

---

[1]) Środek zaradczy—remède i sposób wyjścia—expédient, są to wyrażenia używane przez autorów francuskich do tłumaczenia „Aushilfe" (por. także Bellona, listopad 1927, str. 128).

sobie z Posidoniosem: „Nie zmożesz mnie udręko; gdybyś mię nie wiedzieć jak gnębiła, nigdy nie przyznam ci, że jesteś złem". I nazwał strategję „systemem wybiegów".

Oczywiście, że przy takiem, filozoficznem ujęciu, Moltke nie był w stanie i nie starał się nawet wcale narzucić jakiegoś własnego, charakterystycznego poglądu. „Jego system polegał na tem — mówi Schlieffen — że nie miał żadnego systemu".

System Moltkego.

Jednakże, mimo wszystko, wyrósł on na naukach wojen napoleońskich.

Wychowawcą pokolenia, do którego należał Moltke, był Clausewitz, w latach 1810—12 profesor, a od roku 1818 do 1830— dyrektor berlińskiej Akademji Wojennej. „To posiew Clausewitza, który dał bogate żniwa na polach bitw 1866 i 1870 — 71 r.—mówi Schlieffen — Jego nauką przepojone są do dziś nasze regulaminy".

Opierając się na bardzo szczegółowych studjach wojen Fryderyka Wielkiego i na znanych mu osobiście czynach Napoleona[1]), uważa Clausewitz działanie zwartą masą jako zasadę wszelkich operacyj. Jest to dla niego tak samo przez się zrozumiałe, że, omawiając inne zagadnienia wojny w długich rozważaniach, kwestję „Sammlung der Kraefte im Raum" załatwia kilkoma zdaniami [2]). Natomiast już co do jedności działania w czasie uważa za stosowne podać szczegółowe roztrząsania w następnych dwóch długich rozdziałach.

Już to samo wystarcza do zdania sobie sprawy z obranej drogi rozumowania. Jednolitość działania w przestrzeni, kolejność w czasie są bowiem charakterystyczną cechą bitwy napoleońskiej [3]).

---

[1]) Clausewitz był pod Jeną kapitanem, przydzielonym do kwatery głównej jako adjutant księcia Augusta Pruskiego. Po Tylży był współpracownikiem Scharnhorsta przy reorganizacji wojska pruskiego. Od r. 1813 był w kwaterze głównej Blüchera.

Należy zauważyć, że w latach 1810 — 1812, kiedy oprócz profesury w Akademji Wojennej, miał sobie powierzone wychowanie wojskowe następcy tronu pruskiego, formował Clausewitz zapatrywania swego wychowanka równie na przykładach Fryderyka, jak Napoleona, udowadniając jedność doktryn obydwóch wodzów. Ale o tem później.

[2]) „Vom Kriege", drittes Buch, elftes Kapitel.

[3]) Niedarmo Francuzi ogólnie uważali Clausewitza, za „le plus remarquable commentateur de Napoleon". Należy także zauważyć, że Clausewitz w 12 rozdziale księgi 3-ej szczegółowo umotywowuje zalety szyku głębokiego i braki szyku linearnego.

Zapatrywania te przyswoił sobie Moltke, który w swojej historji 1870 r. podaje zmasowanie sił wyraźnie jako swoją zasadę główną [1]. Stąd też pochodzi, że jego plany bynajmniej nie przypominają Hannibala (jak stara się wmówić Schlieffen) lecz raczej Napoleona [2].

Mówię „raczej" albowiem i tu dadzą się zauważyć różnice.

Będąc w tem szczęśliwem położeniu, że miał zawsze do czynienia z niedorosłymi doń duchową miarą przeciwnikami i że miał zawsze przewagę liczebną, skierowywał Moltke przedewszystkiem na front biernie wyczekującego wroga siły naogół równe, do związania go i osłabienia. Nadwyżka sił uderzała dopiero po pewnym czasie, kiedy wróg był już częściowo zużyty, na jego bok i tyły, aby sprowadzić rozstrzygnięcie w zastoju czołowej walki. Uderzenie boczne było, wobec nieruchomości przeciwnika, albo skierowywane już zdaleka (jak na Koeniggrätz i do przewidywanej na dzień 9.VIII. 1870 bitwy nad Saarą), albo też wychodziło z głębi uszykowania, w miarę rozpoznawania stanowisk przeciwnika walką czołową (jak pod St. Privat i Sedanem) [3].

Pouczającym pod względem odchyleń od systemu napoleońskiego przykładem są zarządzenia Moltkego na dzień 9 sierpnia 1870. Dwie armje mają „zdecydowanie" nacierać na front przewidywanej nad Saarą pozycji francuskiej armji lotaryńskiej. Trzecia armja posuwa się na lewo od tamtych. Szerokim frontem „celem wyzyskania największej ilości dróg dla szybkości" idzie ona na

[1]) Graf Helmuth von Moltke „Geschichte des deutsch—französischen Krieges". Berlin, Mittler, 1891, str 8, 11, 33 i inne.

[2]) Należy zauważyć, że działalność literacka Schlieffena jest nawskroś tendencyjna. Schlieffen znał dokładnie trudności, jakie konserwatywny umysł niemiecki przeciwstawia nowym prądom, i dlatego starał się swoją nową doktrynę przybrać w szaty tradycji, tak dla każdego Niemca drogiej. Z wprost mistrzowską zręcznością, stara się on wmówić, że zarówno Fryderyk Wielki jak Moltke byli nowoczesnymi przedstawicielami poglądów Hannibala z pod Kann. Nie może nawet powstrzymać się, aby w operacjach napoleońskich, jak Marengo, Ulm, Jena i t. p., nie dopatrywać się cech Kann. Natomiast w działaniach pod Landshut, które Napoleon sam nazwał swojemi najpiękniejszemi manewrami, dopatruje się Schlieffen samych błędów. Wiadomo, że Napoleon starał się wówczas przedewszystkiem skupić rozproszoną przez Berthiera armję. Schlieffen natomiast doszukuje się właśnie w tym rozdziale sił wszystkich warunków przeprowadzenia Kann. Podobnie ostro krytykuje Schlieffen bitwę pod Ligny, która — według niego—musiałaby skończyć się zupełnem zniszczeniem Blüchera, gdyby Napoleon zastosował system Kann.

([3] Że w 2 pierwszych wypadkach Moltke nie uzyskał osaczenia, miało być, zdaniem Schlieffena, spowodowane błędami wykonawców. Że w 2 ostatnich Moltke

innego przeciwnika—armję alzacką, w dolinie Renu. W razie gdyby go nie spotkała, ma na wysokości przewidywanego lewego skrzydła armji lotaryńskiej skręcić na prawo, aby „wzmocnić" natarcie na to skrzydło.

Wielkie podobieństwo położenia do bitwy pod Castiglione (jakie wytworzyłoby się z tych zarządzeń w obliczu armji lotaryńskiej) zaciera się jednak przy rozpatrzeniu taktycznego podziału sił [1]. Armja prawego skrzydła posiada 2 korpusy, armja środkowa 6 korpusów (4 armja weszła w skład 2-ej), armja lewego skrzydła 5 korpusów. Nie widzimy nigdzie chęci kierowania bitwą przez dowódcę całości zapomocą silnego odwodu, przeznaczonego do rozstrzygającego uderzenia w chwili, kiedy trzecia armja, podobnie jak Serrurier pod Castiglione, dałaby odczuć swoją obecność na flance wroga.

Uszykowanie to wskazuje, że jego myśl przewodnia stoi na niższym stopniu artyzmu, niż typ Castiglione. Możemy je zaklasyfikować do typu Delion [2].

W żadnym jednak wypadku Moltke nie ma nic wspólnego z systemem Hannibala.

Aby wykazać zasadniczą rozbieżność między doktryną napoleońską a doktryną hannibalowską, wystarczy zestawić różnice między zasadami Castiglione a cechami Kann [3].

Różnica najważniejsza polega na tem, że typ Castiglione zdąża do rozbicia szyku przeciwnika skupionem uderzeniem na jeden punkt, aby go zniszczyć częściami, zaś typ Kann usiłuje stło-

---

zdołał otoczyć wroga, ma być dowodem skuteczności systemu Kann. Jest to poprostu „naciąganie". Przy stosowanym przez Moltkego systemie, osaczenie nie jest wcale rozmyślnie poszukiwane, a jeżeli dojdzie do skutku, to albo dzięki tak kompletnej bierności przeciwnika, że nawet uciec nie potrafi (Bazaine), albo dzięki zupełnemu zgnieceniu zmysłu strategicznego przez względy polityczne (Mac Mahon). Wiadome jest zresztą, że sukcesami, które wywołały Metz i Sedan, sam Moltke był najbardziej zdziwiony.

Zupełnie słusznie zauważa Foerster („Graf Schlieffen und der Weltkrieg", wyd. 1925, str. 7), że Schlieffen „przypisywał Moltkemu myśli, plany i cele, których ten w rzeczywistości wcale nie miał". „Ale — mówi on dalej — „Schlieffen czynił to rozmyślnie, aby podnieść siłę przekonywującą swych genjalnych pomysłów". Albowiem Schlieffen był — jak każdy umysł twórczy — przedewszystkiem propagatorem.

[1]) Co słusznie podkreśla Bonnal (jakkolwiek z innego punktu widzenia) w „Manoeuvre de St. Privat", str. 70.

[2]) Patrz „Bellona", kwiecień 1927, str. 19.

[3]) Różnice te są szczegółowo rozpatrywane w „Bellonie", grudzień 1927, str. 302 i nast.

czyć szyk wroga, aby go, odebraniem swobody ruchu, obezwładnić i zgnieść w całości.

Dążność do rozluźnienia spoistości, do wprowadzenia zamętu w szeregi wroga, aby ułatwić sobie uderzenie czołowe, cechuje wszystkie operacje typu pierwszego.

Dążność do stłoczenia szyku przeciwnika, skruszenia jego organizacji i stworzenia z ugrupowanych bojowo wojsk bezładnej i bezradnej kupy biernych ofiar, cechują operacje typu drugiego.

W pierwszym wypadku, pobite wojsko ucieka w rozsypce, w wypadku drugim—nieprzyjacielscy żołnierze giną w tłoku (lub kapitulują).

To jest różnica zasadnicza.

Do typu pierwszego należy nietylko Castiglione, ale wogóle każde działanie szykiem głębokim [1]).

System Napoleona.

Przedewszystkiem rozejrzyjmy się w dziedzinie operacyjnej.

Proceder napoleoński świetnie charakteryzuje generał Camon: „Marszami gwałtownemi—mówi on—przygotowanemi w największej tajemnicy, zbiera Napoleon, możliwie najbliżej linij odwrotowych wroga, masę, zdolną do pokonania każdych okoliczności, w jakichkolwiekby się znalazła".

„Nagle rzuca armję na tyły przeciwnika. Uzyskawszy to, zwraca się ku temu przeciwnikowi, który nie ma innego wyjścia, jak poddać się, albo przebić się".

„Sposób straszliwy, który przerażał jego własnych generałów, ponieważ nie byli oni w stanie ogarnąć wszystkich, materjalnych i moralnych, czynników jego kalkulacji. To, na co liczył Napoleon, była nieunikniona *demoralizacja* przeciwnika. Należy sobie uzmysłowić wrażenie, jakie wywierać nań musiało nieoczekiwana wiadomość, że armja francuska maszeruje z całym rozmachem, aby mu odciąć odwrót. Jedyną myślą, która mu się może nasunąć, będzie śpieszne wycofanie wszystkich oddziałów".

„Otóż to właśnie, ta ucieczka w popłochu jest tem, co Napoleon przewidział i czego oczekuje, aby rzucić swe, podniosłym duchem rozpłomienione, wojska na zdemoralizowane oddziały nieprzyjaciela" [2]).

---

[1]) A więc wszystkie działania Napoleona, razem z Marengo, Ulm, Jeną it.d., należą do tego typu, mimo odmiennej propagandy Schlieffena.

[2]) A więc Marengo, Ulm, Jena—nie mają nic wspólnego z typem Kann.

To samo dzieje się na polu bitwy, gdzie również chodzi o rozluźnienie spoistości wrogiego ugrupowania [1]). Napoleon stara się rozdzielić szyki przeciwnika i pobić go, rzucając kolejno swoją całość na jego części, nie wspierające się nawzajem.

„Bitwa napoleońska—mówi Camon— polega na zastosowaniu *natarcia głównego.* Aby zwyciężyć, nie potrzeba przewagi na całym, rozwiniętym froncie. Najpewniejszym i najbardziej opłacającym się sposobem uzyskania zwycięstwa jest wywołanie w uszykowaniu przeciwnika, zapomocą potężnego uderzenia siłą, lokalnej dezorganizacji, dość znacznej, aby pociągnęła za sobą dezorganizację reszty. „Po dokonaniu wyłomu, równowaga jest złamana; reszta staje się zbyteczna" (Napoleon).

„Lecz to główne uderzenie wymaga, aby udało się napewno, skierowania go na punkt już osłabiony i w chwili, kiedy przeciwnik nie ma już odwodów do przeciwstawienia".

„Dwa te czynniki stara się Napoleon narzucić zgóry, wprowadzając w grę natarcie obchodzące. Natarcie to skierowane jest na tyły tego skrzydła przeciwnika, za którem przebiegają jego linje odwrotowe".

„Jakiż jest wynik nieunikniony? Wszystkie siły, wszystkie odwody nieprzyjaciela są zajęte walką czołową, tutaj skierowana jest cała jego uwaga. A oto nagle dowiaduje się on, że jakaś masa wysuwa się na jego linję odwrotu. Co jej przeciwstawić? Jak ją zatrzymać? Przeciwnik zaskoczony, zmieszany tem natarciem, którego siły nie zna, jest szybko zdemoralizowany. Musi on rzucić naprzeciw swe ostatnie odwody, starannie dotychczas oszczędzane, albo rozciągnąć skrzydło, kosztem jego gęstości. Jednem słowem, według wyrażenia samego Napoleona w liście do Murata z 13.X.1813, przeciwnik jest zmuszony „osłabić swą linję w ważnej chwili, a ten właśnie ruch powoduje przegrywanie wszystkich bitw" [2]).

---

[1]) „Z systemu kampanji rodzi się system bitwy. Jedynie bardzo zdolni wojskowi będą mogli to zrozumieć" (Napoleon).

[2]) Camon, który przytacza ten cytat w „L'effondrement du plan de guerre allemand" celem porównania z bitwą nad Marną 1914, opuszcza koniec zdania, który jest jednak dla badacza doktryny nader ważny. Całość uwagi Napoleona brzmi: „C'est ce mouvement (powodujące osłabienie linji) qui fait perdre toutes les batailles; *elles ne se gagnent qu'en renforcant la ligne dans un moment critique*" (kolejność wysiłku w czasie!).

„Napoleon rozpoczynał bitwę zwykle natarciem czołowem; dopiero kiedy związał i zużył przeciwnika—okazywało się natarcie obchodzące" [1]).

Zasadniczo to samo dzieje się pod Austerlitz, tylko że tutaj, zamiast uderzeniem bocznem, Napoleon wyborem terenu bitwy prowokuje przeciwnika do osłabienia swego centrum, na które rzuca masę Soulta. Operacyjnym odpowiednikiem Austerlitz jest kampanja 1796 r.

System Fryderyka Wielkiego.

Szczegółowe rozpatrzenie zasady postępowania napoleońskiego zbija drugą tezę Schlieffena, a mianowicie jego twierdzenie, że sposób działania Fryderyka Wielkiego nosi cechy Kann. Jeżeliby tak było istotnie, wówczas system fryderycjański musiałby być przeciwny systemowi napoleońskiemu.

Czyż tak jest rzeczywiście?

Na czem polegała metoda Fryderyka Wielkiego?

Weźmy typowe Leuthen (5. XII. 1757).

Fryderyk maszeruje czołowo na oczekującą go w dogodnej pozycji armję austrjacką. Jego straż przednia rozbija i spędza austrjackie oddziały osłonowe, następnie podsuwa się pod wyciągniętą linję wrogiego frontu, osłaniając ze swej strony horyzont, za którym manewrują siły główne (patrz szkic na str. 138).

Fryderyk dochodzi do ostatniej fałdy terenu, ukrywającej go przed wzrokiem Austrjaków, skręca w prawo i zatacza w ukryciu ćwierć koła, aż do wyjścia czoła kolumny poza bok lewego skrzydła austrjackiego (przeskrzydla). Następnie frontuje w lewo i, przekraczając rozwiniętym szykiem zasłonę, ukazuje się nagle przerażonym oczom lewego skrzydła Austrjaków, z kierunku prawie prostopadłego do tego, skąd go oczekiwano.

Natychmiastowe uderzenie zwartej masy kawalerji Zietena nie pozwala Austrjakom ocknąć się z przerażenia. Razem z kawalerją uderzają, zebrane przed skrajnem prawem skrzydłem pruskiem, wyborowe bataljony grenadjerów, przyzwyczajone z niesłychaną pogardą śmierci szablami atakować armaty (podów-

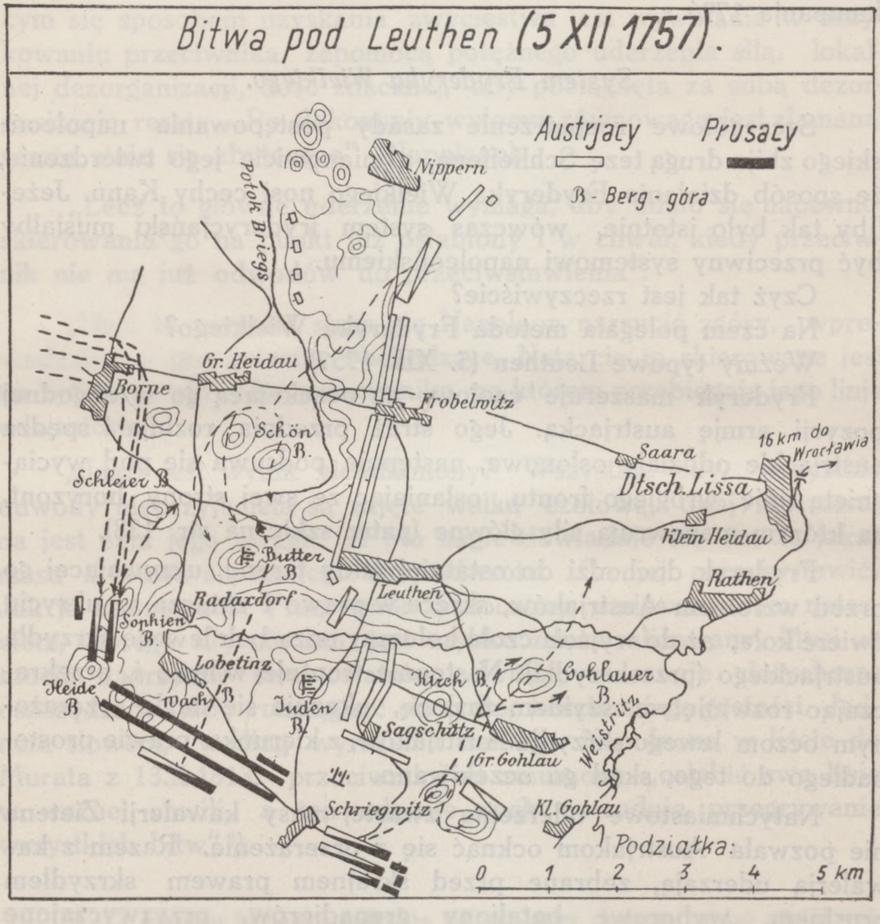
---

[1]) W jaki sposób Epaminondas uzyskał zamięszanie i demoralizację w punkcie, gdzie zamierzał przełamać front przeciwnika, patrz „Bellona", kwiecień 1927, str. 22 i 32.

W wielkiej wojnie wyniki te starano się uzyskać przygotowaniem artylerji, czołgami i gazami.

czas wysuwane przed linję piechoty). Tuż za niemi posuwają się w 2 rzutach długie szeregi piechoty linjowej, wyzyskując zamięszanie[1]).

Zaskoczone zupełnie lewe skrzydło austrjackie jest rozbite w mgnieniu oka. Fryderyk zwija z łatwością wrogi front, rozgniatając całą armją kolejno austrjackie bataljony skrzydłowe.



Jedynym ratunkiem dla środka i prawego skrzydła Austrjaków jest szybka zmiana frontu, aby czołowo przeciwstawić się nawale. Jest już jednak zapóźno. Położona na styku lewego skrzydła ze środkiem miejscowość Leuthen, która ma osłonić prze-

[1]) Por. bitwę pod Leuktrą, „Bellona", kwiecień 1927, str. 22.

grupowanie, jest stracona. Zanim oficerowie austrjaccy zdołali opanować zamieszanie nagłego zwrotu, wysuwa się ku nim długa linja pruskiego ognia i dokończa porażki.

65 tysięcy Austrjaków ucieka w popłochu przed 35 tysiącami pruskich „Kerle". Szczątki potężnej armji, która na krótko przed tem pobiła i wzięła do niewoli podwładnego króla pruskiego (księcia Bevern pod Wrocławiem, 22. XI. 1757), której generałowie na krótko przed bitwą pokpiwali sobie z „Potsdamer Wachtparade", jak określali małą armję króla, oparły się aż w Sudetach, mimo braku pościgu[1]).

Historja niewiele posiada przykładów równie druzgocącej porażki tak wielkiej przewagi. „Ponieważ Austrjacy — zauważa Th. v. Bernhardi[2]) — zupełnie biernie przyjęli uderzenie wroga i pomyśleli o zwrocie dopiero, kiedy już połowa ich armji była rozbita, nie mogła im wiele pomóc przewaga liczebna, jaką niezmiernie rzadko widziano na polu bitwy".

„Ze strony pruskiej — mówi dalej Bernhardi — występuje w kierownictwie bitwy najbardziej udane zastosowanie szyku skośnego. Leuthen można pod tym względem uważać za wzór, w którym okazuje się, bez zmącenia przypadkami, w zupełnej czystości, do czego właściwie dążył Fryderyk Wielki swoim systemem natarcia".

Nie potrzeba objaśniać, że system ten dążył do rozluźnienia spoistości i częściowego rozbijania sił przeciwnika całością sił własnych. Cechę tę noszą wszystkie bitwy fryderycjańskie. Pod Pragą (6. V. 1757) łączy się Fryderyk przed bitwą z przywołanemi posiłkami (Schwerin) i dopiero wtedy obchodzi Austrjaków całością sił. Pod Zorndorf (23 — 25. VIII. 1758) król aż dwa razy, zawracał Rosjanami, zanim zdołał dobrać się do ich prawego skrzydła. W obydwóch wypadkach, jak i pod Kunersdorf (12. VII. 1759), Fryderyk odcina przeciwnikowi zupełnie możność odwrotu. Wszystkie te operacje są jednak w stylu napoleońskim, w stylu Marengo, Ulm, Jena, lecz nie mają nic wspólnego z cechami Kann[3]).

---

[1]) Biuletyn księcia Karola Lotaryńskiego, że w dzień po bitwie zebrał wojska i stanął w gotowości do ponownej rozprawy, historja „wkłada między bajki".

[2]) Theodor v. Bernhardi „Friedrich der Grosse als Feldherr."

[3]) Por. Camon „La genèse du plan de guerre allemand" (Revue Militaire Française, 1921, Nr. 5 i 6).

Źródłem fryderycjańskiej myśli operacyjnej jest Leuktra [1]. A Leuktra wytycza już pewien ściśle oznaczony kierunek rozwoju, który prowadzi do prototypu działań napoleońskich, jakim jest Mantinea. [2]) Z drogi tej niema odgałęzienia do Kann. Trzeba wrócić się do Delion, aby móc pójść w tym kierunku[3].

System Hannibala.

Pod Delion tradycyjne, głębokie uszykowanie Beotów, przyczepione do zwyczajnego uszykowania reszty wojsk Pagondasa, bijąc normalną falangę ateńską, odsłoniło tajemnicę taktyki, polegającą na różnolitem uszykowaniu sił, stosownie do poszukiwanej kombinacji wysiłków [4].

Rodzaj tych kombinacyj ustala strategja.

---

[1]) Twierdzenie to dalekie jest od chęci naginania rzeczywistości do teorji Fryderyk Wielki zajmował się poważnie studjami wojen starożytności. Istnieje pisany przez niego wyciąg z historji Polybiosa, a po Jenie Jomini znalazł na biurku królewskiem, nietykanem od chwili śmierci Fryderyka, książkę „L'art de la guerre par principes et par régles", wydaną w r. 1749 przez marszałka de Puységur, w której ten szczególnie dokładnie zajmuje się Leuktrą.

[2]) Łańcuch jest zamknięty, skoro uwzględni się, że w czasach, kiedy kształtował się umysł Bonapartego, Fryderyk Wielki był tym mistrzem dla wszystkich adeptów sztuki wojennej, jakim dziś jest dla nas Napoleon. Idąc więc dalej po drodze, wskazanej przez Fryderyka, doszedł Napoleon już w r. 1800 do Mantinei. Wogóle należy zdać sobię sprawę, że o zasadzie „z niczego nic stworzyć nie można" (por. „Bellona", kwiecień 1927, str. 35) zapominają tylko dyletanci. Umysły prawdziwie wielkie cechuje właśnie zdolność wyzyskania tego, co było.

Dowodem łączności ideowej Fryderyka i Napoleona jest również karjera naukowa Jomini'ego. W r. 1804 wydał on książkę „Traité des grandes opérations militaires", opartą prawie wyłącznie na studjach Fryderyka Wielkiego. Myśli, rozwijane w tej pracy, przypadły tak do przekonania Ney'owi, że w r. 1805 zrobił Jomini'ego swoim pierwszym adjutantem. W latach 1806 — 1807 był Jomini przydzielony do kwatery głównej, gdzie nawet odważał się trafnie przewidywać plany Cesarza, ku niemałemu zgorszeniu niezdary Berthiera. W latach 1808 — 1809 był znów u Ney'a, teraz już szefem sztabu. W r. 1810, mianowany generałem, otrzymał od Cesarza rozkaz opracowania kampanji 1796 r. W r. 1813 był znów szefem sztabu u Ney'a. Wystarczające dowody zaufania do jego znawstwa, opartego, jak powiedziałem, na studjach o Fryderyku Wielkim. Te studja, ilustrowane faktami z dziejów napoleońskich, stanowiły również program wojskowego wychowania następcy tronu rosyjskiego, do czego Jomini został powołany w r. 1837. (Zupełnie jak Clausewitz wobec następcy tronu Prus).

[3]) Do zrozumienia podstaw tego twierdzenia, niezbędne jest przypomnieć sobie, co pisałem w „Bellonie" w kwietniu 1927, str. 24 i 26 i w maju, str. 133—136, o stosunku Delion do Leuktry i Trebii. Leuktra zrodziła Mantineę, Trebia—Kanny. Oto duchowy rodowód tych myśli i tych obydwóch systemów.

[4]) „Dosage des forces" Culmanna (Stratégie, str. 26).

Epaminondas poszedł drogą skupiania całości sił w jedną masę (bataillon carré) i rozbijania części sił przeciwnika całością sił własnych.

Hannibal kombinował z innego punktu widzenia.

Już sama tradycja bojowa Kartagińczyków opierała się na zupełnie innych podstawach, niż Beotów. Kartagińczycy, zanim starli się z Rzymem, rzadko kiedy spotykali przeciwników, którzy twardo staliby w boju, uważając za hańbę opuszczenie placu bitwy. Ich walki toczyły się przeważnie z synami pustyni, którzy, jak lotny piasek, przesypywali im się przez palce. Także historja wojen ojca i mistrza Hannibalowego, Hamilkara, nacechowana jest ruchem, napadami, zasadzkami, podstępami, wykazując tylko w wyjątkowych wypadkach formę „bataille rangée" (zwyczajną u wojsk europejskich wszystkich czasów).

Co było łatwe dla Epaminondasa lub Napoleona, to było nieosiągalne dla Kartagińczyków. Cóż n. p. przyszłoby im z tego, gdyby dostali się na komunikacje wroga zwartą masą, skoro ten, jak wicher, potrafił okręcić się około nich, przyjmując lub nieprzyjmując bitwy, prowadząc ją dalej w okolicznościach korzystnych lub w dowolnej chwili przerywając, jak mu się podobało?

W tych warunkach nie dziw, że Kartagińczycy musieli się uciec do innego systemu walki. Przedewszystkiem osaczyć przeciwnika ze wszystkich stron, „Einkesseln", jak mówią Niemcy, aby nie mógł „zwiać" i zmusić go nietylko do przyjęcia walki, lecz do rozegrania jej do końca.

System ten okazał się konieczny także i wobec Rzymian. Albowiem ci znów nosili zawsze ze sobą fortece, swoje „castra", z których wychodzili do boju lub nie i w których, w razie niepomyślnego obrotu sprawy, mieli zawsze pod ręką „refugium", chroniące ich przed wszelkiemi konsekwencjami niepowodzenia. Jak długo Rzymianie mieli możność wycofania się do swego niezdobytego obozu, tak długo wszelka nadzieja uzyskania rozstrzygnięcia na polu bitwy musiała być płonna. Uniemożliwić Rzymianom odwrót do obozu—było więc najważniejszem zadaniem stratega.

System Epaminondas—Napoleon był tu zupełnie wykluczony, gdyż Rzymianie nigdy tak się nie ustawiali, aby narazić się na możliwość odcięcia. W razie potrzeby—raczej przenosili obóz. Nad Trebią jeszcze udało się Hannibalowi podrażnić zapalczywego Semproniusza do przejścia rzeki, w której nurtach zginęła następnie większość jego armji, uciekającej w popłochu do pozostawio-

nego nieopatrznie na drugim brzegu obozu. Nad Trasimenem armja Flaminiusza zginęła w zasadzce. Ale po kampanji przeciwko Fabiusowi Cunctatorowi trzeba było wynaleźć inny sposób. Proceder ojcowski już nie wystarczał. Rzymianie nauczyli się ostrożności. Po obydwóch brzegach rzeki Aufidus mieli obozy, a na prowokację, w rodzaju jak nad Triebią, ostrożny Aemilius Paullus odpowiedział interrogacją bogów, której auspicja wypadły niepomyślnie i powstrzymały tymczasem nawet zapalczywego Varrona. Tutaj, na otwartem polu bitwy, trzeba było dążyć do zaskoczenia i osaczenia. Nie wolno było dopuścić do zmiany uszykowania Rzymian, wogóle do zdania sobie przez nich sprawy z tego, co się święci, zanim nie zamknęło się za nimi kolisko, dające tylko dwa wyjścia: śmierć lub zwycięstwo.

Podstępny semita znalazł środek nieomylny: przynętę powodzenia [1]). Rzymianie musieli widzieć zwycięstwo, już, już chwytać za nie, aby zapomnieć o wszystkiem, aby ślepo zapędzić się w przewidywanym przez Hannibala kierunku, aż chwycą ich nastawione przez niego cęgi [2]). Wtedy dopiero, a nie wcześniej, miała zacząć się rozprawa, w której wszystkie siły, równocześnie ze wszystkich stron, miały rzucić się na wroga [3]).

Zatem, odwrotnie niż poprzednio, nie jednolitość wysiłku w przestrzeni a różnolitość w czasie, lecz jednolitość w czasie a różnolitość w przestrzeni—będą cechą charakterystyczną tej rozprawy.

Podczas niej, nie przez wprowadzenie zamieszania, przez rozluźnienie szyku wroga, przez wyzyskanie jego nagłych zmian, lecz wręcz przeciwnie—przez niedopuszczenie do zmian, aby móc wyzyskać słabe strony *aktualnego* ugrupowania przeciwnika, miało być uzyskane zwycięstwo.

Widzimy, jak zasadniczo różne są podstawy kombinacji Epaminondasa a kombinacji Hannibala.

---

[1]) Schlieffen mówi: „Przeciwnik musi być tak zaabsorbowany czołowo, aby nie mógł już uchylić się z pod bocznego uderzenia". Zasada ta odnosi się do każdego rodzaju działania. Napoleon czyni jej zadość silnem natarciem na całym froncie (on s'engage partout). Hannibal, nie wiedząc czy przeciwnik dotrzyma placu, woli go zwabić ku sobie i oślepić złudą powodzenia.

[2]) Bernhardi dowodzi w „Elemente des modernen Krieges", że każdy manewr nieprzygotowany, choćby silniejszy, zreguły ulega manewrowi przewidzianemu, choćby słabszemu.

[3]) Porównaj nieudane próby naśladowania Hannibala pod Baecula i Ilipa (Bellona, maj 1927, str. 156), które wykazują charakterystyczne błędy w stosowaniu tego procederu. Pod Baecula wróg został poprostu wystraszony.

Upadek sztuki wojennej w Niemczech.

Po tych niezbędnych objaśnieniach, przejdziemy do zbadania realnej wartości starej doktryny niemieckiej na podstawie planów operacyjnych.

Moltke nie odczuwał jeszcze potrzeby zmiany swych zapatrywań, kiedy wyłoniła się konieczność przewidywania wojny na dwa fronty. Przecież właśnie Fryderyk Wielki i Napoleon byli największymi mistrzami działania po linjach wewnętrznych.

Plan wojny Moltkego polegał na opóźnianiu posuwania się Francuzów, aż do chwili zwolnienia sił głównych, przeznaczonych do uderzenia na Rosję, która wtedy była groźniejszym przeciwnikiem. Opóźnianie miało polegać na stawianiu kolejnego oporu na stromych stokach leżącej wpobliżu wspólnej granicy pozycji Moorungen (Morhange), opartej skrzydłami o twierdze Metz i Strassburg, i następnie na linji głęboko wciętej Saary, jakoteż na przeciwnatarciach załóg twierdz Metz i Strassburg na boki wroga. U spływu Menu i Renu, gdzie siłę pozycji — uważanej za niezdobytą—wzmacniała twierdza Moguncja, mieli być Francuzi zatrzymani ostatecznie. Do tego rodzaju działań wystarczały, zdaniem Moltkego, siły bardzo nieznaczne.

Na wypadek konieczności skierowania głównego wysiłku przeciwko Francji, zamierzał Moltke rzucić całą, zwartą masę sił niemieckich, jak olbrzymi pocisk, w wyrwę, pozostawioną przez Francuzów między Toul a Épinal w nowowybudowanym pasie fortec (trouée de Charmes).

Jednakże stary i doświadczony Moltke był zbyt mądry, aby nie zdawać sobie sprawy, dlaczego Francuzi zostawili tę wyrwę. Tutaj na niego były nastawione sidła! Tutaj, nawet gdyby się udało odeprzeć próby uderzeń francuskich, wychodzących z fortec lub z poza fortec, na boki jego masy nacierającej, w najlepszym wypadku wynikłoby uderzenie czoło w czoło, uniemożliwiające wszelką kombinację wysiłków [1]). A mistrz Moltke nie był ani krwawym rzeźnikiem, jak Falkenhayn pod Verdun, ani też nie znał jeszcze dziwacznego pomysłu „Ermattungsstrategie" Del-

[1]) Widoki powodzenia dawała tylko nadzieja znacznie szybszej koncentracji i wyjście natarcia przed gotowością bojową Francuzów, jak to miało miejsce w r. 1870. Francuzi odczuwali to jednak doskonale; ich główną troską była, omawiana w całej literaturze, konieczność przeciwstawienia się przewidywanemu „attaque brusquée".

brücka [1]). Podkreślił przeto otwarcie wielkie trudności takiego działania i wolał, aby Francuzi wyszli z poza swoich barykad na terytorjum niemieckie, by się z nimi rozprawić w otwartem polu. Jego plan uderzenia masą przez wyrwę de Charmes był zatem tylko „wybiegiem z niepomyślnej sytuacji", którą stworzyłaby konieczność ofensywy wobec twierdz francuskich.

Los rzeczywiście zawziął się na Moltkego, o ile chodzi o „niepomyślne sytuacje"!

Czy aż tak? Czy też i Moltke nie jest bez winy, że nie potrafił znaleźć lepszego rozwiązania, niż bezustanne „wybiegi".

Albowiem zastanowiwszy się głębiej, studjując całokształt działalności tego mistrza w stosowaniu teorji, musimy stwierdzić objaw wysoce charakterystyczny. Jest nim zanik myśli twórczej, spowodowany poczuciem przewagi i pewności siebie, spowodowany brakiem „bezlitosnego bicza namiętności"; zanik taki sam, jakiego dopatruje się Yorck von Wartenburg u Napoleona od chwili, kiedy Europa kornie legła u jego stóp [2]).

Taka zbytnia pewność siebie niejednego już wodza doprowadziła do ruiny!

Okres Moltkego jest bowiem, mimo ogromu jego powodzeń, (a może właśnie z tego powodu?) widocznym nawrotem Niemców z kierunku napoleońskiego do najprymitywniejszych form sztuki wojennej [3]).

Fryderyk Wielki, na podstawie studjów myśli Epaminondasa, stworzył typ Leuktry. Jednakże Niemcy nie postąpili naprzód tą drogą. Działalność Moltkego oznacza wyraźny zwrot wstecz, a Yorck von Wartenburg ma zupełną słuszność twierdząc, że sztuka Moltkego stała znacznie niżej od sztuki napoleońskiej i fryderycjańskiej.

Moltke ani nie stosuje rozstrzygającego uderzenia odwodów, ani nie skupia wysiłku na jeden punkt. Jego system jest więc cofnięciem się wstecz od taktyki szyku skośnego (co mu wyraźnie zarzucają: von der Goltz i Bernhardi). Operacje Moltkego, z ich zasadniczem uderzeniem, równoległem na całym froncie, wzmoc-

---

[1]) Patrz „Bellona", grudzień 1927, str. 305.

Por. również Bernhardi „Vom Kriege der Zukunft". Berlin, Mittler, 1920, str. 137.

[2]) Graf Yorck von Wartenburg „Napoleon als Feldherr".

[3]) Historja dowodzi, że wielkość powodzeń wojennych jest prawie wyłącznie zależna od względnego stosunku wartości wodzów. Także i długość wojen (przy niezbyt wielkich różnicach sił) prawie zawsze od tego zależy.

nionem na jednem skrzydle masą flankującą, noszą wyraźne cechy taktyki Pagondasa pod Delion.

Moltke jest jednak zmuszony okolicznościami cofnąć się jeszcze dalej. Z wielką niechęcią i zastrzeżeniami wprawdzie, ale jasno i wyraźnie postawiona sprawa operacyj przeciwko Francji po rozbudowie francuskiego pasa fortec [1]) jest niczem innem, jak systemem uderzenia bloku falangi lacedaemońskiej [2]).

Niemcy powrócili do pierwiastka.

Zastanowiwszy się głębiej, musimy przyznać, że wynik ten był nieunikniony, skoro „dramat przerażający, pełen namiętności" reżyserował stoik.

Nowe prądy.

Warunki te musiały zmienić się. „Niepomyślność sytuacji" przybrała z czasem rozmiary, wobec których już nie mogły nic wskórać „wybiegi". Trzeba było rzeczywistej, prawdziwej twórczości.

Temu trudnemu zadaniu potrafił sprostać dopiero po długich studjach drugi następca Moltkego, Schlieffen [3]).

Albowiem i Schlieffen nie odrazu wiedział, jak zabrać się do pokonania trudności, mimo, iż opierał się już na pewnych poglądach i prądach, których źródłem była, jak równocześnie we Francji, najwyższa uczelnia wojskowa.

Berlińska Akademja Wojenna rzeczywiście czuła się akademją, a więc instytutem powołanym do szukania nowych dróg przez przeprowadzanie studjów, nawet sprzecznych z obowiązującemi poglądami. Zupełnie jak École Supérieure w Paryżu pod wpływem Bonnala.

---

[1]) von Kuhl „Der deutsche Generalstab in Vorbereitung und Durchführung des Weltkrieges", 1920, str. 152.

[2]) Pomysł ten stoi nawet niżej od Maratonu, z powodu zbyt małej troski o zaskoczenie. Jego odpowiednik widzieliśmy w artykule poprzednim, omawiając plany Joffre'a (także mistrza „wybiegów z trudnych sytuacyj", jak zobaczymy później).

[3]) Moltke został w r. 1888, w 88-ym r. życia, przeniesiony przez nowego cesarza, Wilhelma II, w stan spoczynku. W tym samym roku niemiecka polityka po raz pierwszy zaczęła otwarcie liczyć się z możnością przejścia Rosji na stronę Francji (mowa Bismarcka w parlamencie dnia 6.II.1888).

Następcą Moltkego był jego najbliższy współpracownik, Waldersee, który pozostał nadal echem mistrza. Dopiero po śmierci Moltkego (1891) objął funkcje szefa sztabu samodzielny i już przez Moltkego za wielki umysł uznany Schlieffen.

Nie zaniedbywano też przytem — wzorem Fryderyka Wielkiego i Napoleona — starannych badań nad klasykami sztuki wojennej[1]).

Niewiadomo w jakich okolicznościach zwrócono szczególną uwagę na pomysł Kann, pomysł obustronnego oskrzydlania przewagi, tak niezgodny z maksymami Napoleona i jego komentatora— Clausewitza[2]). Dość powiedzieć, że już w r. 1890 myśl ta nabrała tyle rozgłosu, że zajmował się nią nawet cesarz. Na manewrach rosyjskich w tym roku, Wilhelm II długo rozmawiał o Hannibalu z zastępcą szefa francuskiego Sztabu Generalnego, generałem Boisdeffre, a po powrocie do Berlina przesłał mu odręczny szkic z komentarzem bitwy pod Kannami.

Jednak, mimo, iż dużo mówiło się o Kannach, przeskok był zbyt gwałtowny. Wiekowa kultura pojęć fryderycjańskich i napoleońskich nie dała się tak łatwo wykorzenić.

Śledząc literaturę wojskową tego okresu, widzi się przeto zupełne pomięszanie pojęć. Poglądy Epaminondasa, zakorzenione głęboko w umysłach pisarzy wojskowych, tworzą zwykle tło ogólne, na którem dziwnie wyglądają wysepki myśli Hannibalowej. Jednakże wysepki te powoli rozrastają się i zczasem poczynają coraz bardziej wypierać pozostałości napoleońskie. Nakoniec Schlieffen, po odejściu w r. 1906 w stan spoczynku, znajduje czas do sformułowania nowej doktryny i oczyszczenia jej zupełnie z resztek dawnych zapatrywań. Dopiero w jego artykułach, umieszczanych w „Vierteljahrshefte für Truppenführung und Heereskunde"[3]) występuje myśl Hannibala w całej jasności.

U czołowych pisarzy niemieckich myśl ta początkowo wogóle nie znalazła zrozumienia. N. p. von der Goltz[4]) jest następującego zdania: „Natarcie strategiczne na jedno skrzydło będzie prawdopodobnie w przyszłych wojnach wojnach najbardziej używanym procederem. Jest ono proste i rozwija się na szerokości frontów, odpowiednich wielkim masom. Aby się udało, wymaga ono wy-

[1]) Badania takie — o ile mają wydać realne korzyści z punktu widzenia wyzyskania nauk przeszłości w nowoczesnych warunkach — mogą dać wyniki tylko w takich środowiskach, jak wyższe uczelnie, gdzie cały zespół wybitnych fachowców, (praktyków i teoretyków) może ustosunkować się do młodych, śmiałych pomysłów.

[2]) Por. „Bellona", maj 1927, str. 144.

[3]) Wydane zbiorowo w r. 1913 p. t. „Gesammelte Schriften", powtórzone częściowo w wydanych w r 1925 „Cannae".

[4]) „Kriegführung". Berlin 1895 (2-gie wydanie „Krieg und Heerführung", 1901).

pełnienia następujących warunków: przedewszystkiem skrzydło, wykonywające natarcie, musi być dostatecznie silne, aby móc, po rozbiciu przeciwstawiającego się mu wrogiego skrzydła, przejść natychmiast do uderzenia na bok reszty sił przeciwnika; następnie musi ono, podczas wykonywania tego zadania, być w możności zachowania swych komunikacyj; nakoniec musi być w stanie związać wroga, lub też, jeżeli pozwoli na to położenie ogólne, wycofać się wtył, bez wywołania tem niepożądanych skutków."

Jest to całkiem wyraźnie typ Leuktra — Leuthen. Widzimy, że von der Goltz nie znajdował się jeszcze na właściwej drodze.

Podobne poglądy rozwija także Bernhardi[1]). Występując przeciwko strategji Moltkego, jako możliwej tylko wobec biernego przeciwnika, żąda on ruchów, któreby zmuszały wroga do nieprzygotowanych, nagłych zwrotów — n. p. w kierunku jednej flanki — które wyzyskuje własne planowe działanie. Dla tego działania żąda on skupienia sił już przed spotkaniem się z wrogiem, podkreślając, że przy czynnem zachowaniu się obu przeciwników zawsze korzyść będzie po stronie tego, który w chwili zetknięcia się z wrogiem będzie bardziej skupiony, a więc będzie miał w danym punkcie przewagę względną[2]).

W rozumowaniu tem zachodzi widoczne nieporozumienie. Bernhardi krytykuje w przebiegu operacyj 1866 i 1870 r. podział sił i zbieranie ich dopiero „na nieprzyjacielu", zaznaczając zupełnie słusznie, że sposób ten jest niewykonalny wobec rucho-

[1]) „Elemente des modernen Krieges", Beiheft zum Militär — Wochenblatt, 1898, neuntes Heft.

[2]) Godne zaznaczenia są uwagi Bernhardiego co do doświadczeń wojennych: „Jakkolwiek historja wojen najdobitniej podkreśla konieczność ujmowania każdej przyszłej wojny jako uwarunkowanej całkowicie odmiennie, mimo to przeciętność bezustannie skłania się do uważania ostatniej wojny za pewnego rodzaju skończoność, do teoretycznego uogólniania czerpanych z jej przebiegu nauk i doświadczeń, uważania ich za miarodajne na przyszłość; nigdy też nie brak takiemu ujęciu oklepanych uzasadnień. Dla patrzącego dalej, jest jednak jasne, że podobne zapatrywania mogą doprowadzić tylko do wyników zgubnych; albowiem potędze nowych, żywych sił, przeciwstawia się martwe narzędzie minionych okoliczności. Musimy oprzeć się na ogólnych naukach historji wojennej daleko bardziej, niż na tych, które możemy czerpać z najświeższego okresu wojen, aby móc znaleźć drogę przez labirynt przyszłości".

Zapatrywania te podtrzymuje Bernhardi w formie jeszcze ostrzejszej 22 lat później w stosunku do doświadczeń wojny światowej („Vom Kriege der Zukunft", 1920, str. 189).

Uważam uwzględnienie tych uwag człowieka tak doświadczonego za szczególnie ważne przy naszych wysiłkach stworzenia doktryny polskiej.

mego celu. Zapomina on jednak dodać, że właśnie ten rodzaj operacyj uważał Moltke za konieczne usprawiedliwić, tłumacząc się, że były to tylko „wybiegi z sytuacyj niezwykłych i niedogodnych, lecz nieuniknionych". Były to konieczności, spowodowane warunkami koncentracji i niezbędnem w danych okolicznościach dążeniem do ubiegnięcia przeciwnika, ale nie stanowiły one bynajmniej zasady operacyjnej Moltkego, która, jak wiemy, była zupełnie zgodna z żądaniem Bernhardiego wyruszania masą [1].

Ważniejszy jest jednak inny pogląd, któremu daje wyraz Bernhardi, a mianowicie niechęć do—charakteryzującego bitwy Moltkego — natarcia czołowego, wobec potęgi nowoczesnych środków walki. Ten pogląd bowiem, podzielany przez współczesną literaturę i Sztab Generalny, doprowadził zczasem do zapatrywań strategicznych, będących treścią nowej doktryny niemieckiej.

Pogląd ten, wraz z propagowaną w studjach Schlieffena myślą Kann, zmienia zczasem oblicze literatury wojskowej. N. p. w wydanej w r. 1912 książce „Vom heutigen Kriege" podaje Bernhardi projekt operacyjny, którego najważniejszy ustęp brzmi: „Jeżeli pominie się warunki polityki międzynarodowej, możnaby sobie wyobrazić wojnę zaczepną Niemiec przeciwko Francji w ten sposób, że północne skrzydło niemieckie będzie posuwało się poprzez Holandję i Belgję, flanką wzdłuż morza, podczas gdy na południu siły niemieckie unikać będą uderzenia przeciwnika i wymykać się będą przez Alzację i Lotaryngję w kierunku północnym, pozostawiając przeciwnikowi wolną drogę do Niemiec południowych".

„Powodzenie Niemców na północy zaprowadzi ich bezpośrednio do Paryża i zaburzy narządy żywotne sił francuskich daleko prędzej, za nim będą one mogły osiągnąć jakiekolwiek rozstrzygające powodzenie w Niemczech południowych. Położenie sił francuskich, zagłębionych w południowe Niemcy, stanie się bardzo krytyczne, ponieważ ich linje odwrotowe mogą być mocno zagrożone".

„Armje niemieckie nie będą miały do wykonywania ruchów zbyt skomplikowanych lub trudnych do wykonania. Przedewszystkiem chodzić tu będzie o dobry podział sił i staranne regulowanie ruchu odwrotowego naszego lewego skrzydła. Odwrót

---

[1]) Zresztą i Fryderyk Wielki ruszył w r. 1757 na Pragę prawie w identyczny sposób, jak Moltke w r. 1866 na Koeniggrätz, a nikt nie ośmielił się robić mu z tego powodu jakichkolwiek zarzutów. Zaznaczyć jednak należy, że nowa doktryna schlieffenowska ten właśnie rodzaj operacyj uważa za szczyt marzeń.

ten nie powinien zaprowadzić zbyt daleko, aby nie dopuścić do zagrożenia komunikacjom niemieckiego skrzydła prawego. Należałoby przeto trzymać energicznie czop ruchu, który leżałby w północnej części Lotaryngji i w Luxemburgu".

Są tu już wszystkie cechy Kann z zupełną wyrazistością.

Staranne regulowanie odwrotu wobec natarcia czołowego. (Wiemy, że Hannibal właśnie w regulowaniu odwrotu widział najtrudniejsze zadanie i osobiście pilnował właśnie tej części frontu punickiego, pozostawiając podwładnym proste zadanie uderzenia bocznego).

Następnie podkreślenie prostoty manewru obchodzącego. (Wiadomo, że tu właśnie leżała największa trudność w systemie napoleońskim).

Nakoniec wskazanie na wyzyskanie położenia Francuzów, którzy zapędzą się, uderzając czołowo. (Powiedzieliśmy, że właśnie na jak najgłębszem wciągnięciu przeciwnika przynętą powodzenia polegał proceder kartagiński).

A więc wszystkie cechy charakterystyczne Kann.

Niestety, Bernhardi nie poprzestaje na tem!

Obraz ten „uzupełniony" jest rozważaniami na temat zamięszania w szykach Francuzów, skoro będą zmuszeni nagle zmienić front lewem skrzydłem, a następnie i resztą (czy w Niemczech południowych?); „uprzystępniony" porównaniami do Fryderyka i Epaminondasa (czy w regulowaniu odwrotu?); „opatrzony" radą utrzymania silnego odwodu za środkiem (czy celem dokonania wyłomu? [1]). Te i tym podobne pozostałości napoleońskie nietylko psują jasność obrazu. Ich konsekwencje były daleko groźniejsze. Książka Bernhardiego była bowiem wyrazem opinji tych kół, których nie zdołał jeszcze przekonać Schlieffen, a więc odgłosem dawnych zapatrywań, o których można śmiało powiedzieć, że one to właśnie spowodowały wykoszlawienie genjalnego planu schlieffenowskiego, one to sprowadziły na Niemców nieszczęście nad Marną.

Zwykły los każdego kompromisu w sztuce.

---

[1]) „Zamiast zgarniać za frontem odwody, które muszą pozostawać bezczynne i brakować w miejscu rozstrzygającem, lepiej jest postarać się o dowóz obfitej amunicji. Samochody pełne naboi są najlepszym i najpewniejszym odwodem" (Schlieffen „Der Krieg in der Gegenwart". Deutsche Revue, 1909). Poglądu tego, jak i wielu innych zasadniczych cech manewru kanneńskiego, Bernhardi nie zrozumiał i zwalcza je w omawianej książce.

PPŁK. WOJSKA FRANCUSKIEGO L. ANDRÉ.

UWAGI W SPRAWIE NAZW OGNI ARTYLERYJSKICH.

Nazwy, które z początku wojny światowej służyły do określania różnych ogni artylerji, zostały ustalone przez samych artylerzystów; ponieważ zaś dokonali oni wyboru z punktu widzenia wyłącznie technicznego, przyjęte nazwy oznaczały ognie, według poszczególnych sposobów wykonania.

Tak więc istniały w r. 1914 we Francji:

ogień z celownikiem stałym,
ogień serjami lub nawałami rzutowanemi w głąb,
ogień skokami wprzód (z kośbą lub bez),

do których można dodać: ogień na cel ruchomy i ogień na nieprzyjaciela nacierającego zbliska.

Słownik jednolity, prosty i ścisły.

Wystarczał on najzupełniej dla potrzeb artylerji i nie powodował żadnej rozbieżności, ponieważ mechanizm ognia, ściśle ustalony przez regulamin, odpowiadał każdemu z 4 czy 5 określeń, wyżej wymienionych.

Jednakże obok swych pięknych właściwości, słownictwo ogni posiadało bardzo dużą wadę, którą wojna odrazu uwydatniła: miało ono charakter tajemniczy dla broni innych poza artylerją.

Oficer piechoty, żądający pomocy od swego kolegi—artylerzysty, nie wiedział o co chodzi, gdy mu ten proponował, np., ogień nawałami rzutowanemi w głąb. Co właściwie miała oznaczać ta propozycja? Czy miał otrzymać od działa potrzebną pomoc, czy też powinien był uważać się za zadowolonego interwencją, której istota ukrywała się pod nieprzeniknioną formułą?

Rzeczywiście, trudno było obu broniom porozumieć się, skoro piechur, żądając ognia, miał na widoku tylko skutki, które miał ogień ten wywołać, podczas gdy w odpowiedzi artylerzysta używał mowy, wyrażającej jedynie sposoby wykonania.

Tak więc podczas pierwszych tygodni wojny, piechurzy lub dowództwo, zwracając się do artylerji, naogół ograniczali się do żądania *ogni* (poprostu): „Artylerja będzie strzelała na taką a taką wieś; artylerja ostrzela taki a taki skraj"... i t. p.

Chociaż sposób ten był bardziej realny, niż mowa artylerzystów, daleko mu jeszcze było do określeń konkretnych.

Artylerzysta, od którego żądano np. ostrzelania skraju, rozumiał dobrze, że miał wykonać ogień z celownikiem stałym; wstrzeliwał się starannie i otwierał na cel serje skuteczne. Lecz właściwie nie wiedział on, jak miał być prowadzony ten ogień: albo więc zatrzymywał się po 4-ej lub 5-ej serji, sądząc, że spełnił swe zadanie; albo też, przeciwnie—przedłużał w sposób nieokreślony ogień, który stał się już niepotrzebny.

Bardzo często zdarzało się, na szczęście, że artylerzysta, widząc doskonale teren boju ze swego punktu obserwacyjnego, był w stanie prowadzić swe ognie zgodnie z posuwaniem się własnych oddziałów. Kierując się swym zmysłem taktycznym i wyciągając wszelką możliwą korzyść z wiadomości, które mogli mu przesłać jego łącznikowi, wiązał jak najlepiej swoje ognie z działaniem piechoty.

Jednak również bardzo często widziano baterje milczące podczas boju lub bijące na przedmioty pozbawione znaczenia taktycznego, ponieważ artylerja byta zbytnio pozostawiona swej własnej inicjatywie i ponieważ bardzo źle informowano ją o tem, czem mogła być pożyteczna.

W pierwszych poważnych bitwach, piechota odczuła konieczność zapewnienia sobie bardzo skutecznego wsparcia ze strony artylerji; dążyła więc do tego, żeby zacieśnić łączność z tą ostatnią, a w tym celu dokładała starań, by swe żądania formułować w języku bardziej wyraźnym, wskazującym *wyniki taktyczne*, jakie należało osiągnąć ogniem działowym.

Po pierwszym okresie, w którym wymiana słów między obydwiema broniami nie była dostateczna, doczekano się nowego okresu, w którym mówiono zbyt wiele! Żądania ognia, skierowywane do artylerji przez piechotę lub przez dowództwo, stały się prawdziwemi rozprawami, które dowódca artylerji musiał następnie przekształcać na mowę artylerzysty, aby przekazać je swym dowódcom dywizjonów wzgl. baieryj. Ponieważ jednak czysto *techniczna* terminologja ogni była niewystarczająca do wyrażenia zamiaru *taktycznego*, przywiązanego do ich wykonania, wyższe

szczeble dowództwa artylerji były same zmuszone uzupełniać swe rozkazy objaśnieniami, nieraz bardzo długiemi.

Ażeby wybrnąć z tej sytuacji, należało wynaleźć nowy język, rodzaj „esperanto", zrozumiały zarówno dla piechurów jak i artylerzystów, a pozwalający zawrzeć w jednem słowie całe długie zdanie wyjaśnień.

A w czasie wojny sprawy idą szybko — zwłaszcza na froncie. Odkąd pojawiły się potrzeby, które właśnie wskazaliśmy, narodziło się nowe słownictwo dla oznaczenia ogni według ich właściwości taktycznych.

Słownictwo to nie usunęło zresztą dawnego, które zachowało swą wartość techniczną, lecz uzupełniło je bardzo udatnie i weszło w powszechny użytek.

Nazwa *„ognia zaporowego"* była, jak sądzimy, pierwszym z neologizmów, stworzonych z początkiem wojny, a oddała w dalszym ciągu bardzo duże usługi. Artylerzysta wiedział co ona oznaczała: „ogień broniący piechotę na zajmowanem stanowisku, przez wytworzenie zapory z granatów między nią a nacierającym"; wiedział też, że wypełni to zadanie zapomocą „ognia z celownikiem stałym". Co do piechura, to był on tym sposobem w posiadaniu wyrażenia, którego istotę doskonale pojmował i dzięki któremu miał pewność, że zostanie natychmiast zrozumiany przez swego towarzysza broni — artylerzystę.

Przy coraz pełniejszem posługiwaniu się planami użycia artylerji, tak w działaniu zaczepnem jak w obronnem, nowy słownik nie przestawał rozwijać się; ale nazwy przyjmowane na oznaczenie ogni artyleryjskich, nie opierały się na technicznym sposobie ich wykonania, lecz wyrażały zawsze *pewne zadanie, pewną myś taktyczną*, często całkowicie zawartą w jednem słowie.

Z tej ostatniej kategorji przytoczymy nazwy: *ogień wzbraniający, ogień oczyszczający, ogień nękający, ogień odwetowy*, wystarczające do wyrażenia całkowitej myśli, która natychmiast i bez innych objaśnień może być zrealizowana przy pomocy granatów.

Inne określenia zostały przyjęte dla oznaczenia zadania szerszego, które przeważnie nie mogło być spełnione przy pomocy jednego ognia, lecz, przeciwnie—wymagało kombinacji ogni kolejnych lub jednoczesnych, wzajemnie się uzupełniających. Takie jest pochodzenie wyrażeń: *ognie wspierające bezpośrednie* lub *ognie osłaniające*, albo jeszcze—*ognie zapobiegawcze.* Myśli,

wyrażone w tych słowach, są jasne tak dla artylerzystów, jak dla piechurów; słysząc je, wie się odrazu, o co chodzi; pozostają jednak do ustalenia sposoby wykonania przy pomocy rozkazów szczegółowych, mających na celu dostosowanie ogni do warunków taktycznych i uregulowanie ich następstwa w przestrzeni i czasie.

Wkońcu przytoczymy wyraz *obezwładnienie*, który podczas wojny przyjął znaczenie ścisłe dla oznaczenia szczególnego sposobu działania, do którego zdolne są ognie artylerji skierowane na cel żywy, a działające przedewszystkiem wywoływanem przez się wrażeniem moralnem. Mało znany, a nawet nieznany przed wojną, ten sposób działania artylerji okazał się jednym z najskuteczniejszych i nabrał wielkiego znaczenia; było tedy koniecznością posiadanie wyrazu, któryby pozwalał określać go wyraźnie.

Sądzimy, byłoby to rzeczą zbyteczną przedłużać to wyliczanie. Jednakże sprawiedliwość wymaga, aby podkreślić wielkie usługi, jakie podczas całego trwania wojny oddał słownik, w ten sposób utworzony. Jesteśmy nawet skłonni powiedzieć, że należałoby widzieć w tem najistotniejszy z postępów, dokonanych w dziedzinie użycia artylerji.

Rzeczywiście, jest to fakt ciekawy, ale prawdziwy, że podczas ostatniej wojny nie wynaleziono nic nowego w sposobie wyzyskania ogni artyleryjskich. Kiedy się studjuje stare rozprawy o artylerji z XVII wieku albo szczegółowe relacje z działań prowadzonych przez wielkich wodzów, takich jak Sully, Vauban, Napoleon i t. d., to stwierdza się, że w tych epokach, mniej lub więcej odległych, *zadania* powierzane artylerji były najzupełniej te same, co dzisiaj: odnajdujemy tworzenie ugrupowań, których role odpowiadają ściśle temu, co my dziś rozumiemy pod nazwami „bezpośredniego wspierania" i „działania ogólnego"; napotykamy wyznaczanie bateryj do zadań, którym dokładnie odpowiada nowoczesne określenie „towarzyszenia"; rozpoznajemy charakterystyczne zadanie zwalczania artylerji, „osłaniania", „wzbraniania", a nawet „nękania", dziennego lub nocnego [1]. A więc sztuka artylerji nie uchyliła się od prawa starego przysłowia, które twierdzi, że niema nic nowego pod słońcem! Lecz o ile artylerzyści wielkiej wojny nie dokonali niczego oprócz wzno-

[1]) Sposoby, które wydają się nam bardzo nowe, jak np. maskowanie lub budowanie pozornych bateryj, były już stosowane kilka wieków temu (mianowicie przez Sully'ego w r. 1587).

wienia, z jednoczesnem zmodernizowaniem, metod i sposobów już niegdyś stosowanych — to przynajmniej mieli oni tę wielką zasługę, że ułożyli je w sposób racjonalny i określili każdy z nich zapomocą wyrazów lub wyrażeń zwięzłych, wzbudzających w umyśle pojęcie jasne i łatwo przystępne.

Stosowanie tych formuł, prostych i logicznych, ułatwiło *łączność broni* w zakresie naprawdę ogromnym; różnorodne role taktyczne, jakie mogą odgrywać ognie artylerji, zostały wskutek tego *rozpowszechnione*, dzięki temu, że każdy z tych ogni nosił nazwę, której znaczenie potrafił zrozumieć każdy z walczących; piechota zaś stała się zdolna wyrazić w sposób krótki a jasny swe żądania, które miała sformułować w sprawie pomocy oczekiwanej od artylerji.

Jednocześnie dowództwo i artylerja wyciągały wielką korzyść z nowego słownika, który pozwalał szybko się porozumieć. Dzięki niemu, rozkazy dotyczące zadań powierzanych artylerji, można było uczynić wyraźniejszemi i zwięźlejszemi. Można twierdzić, że redagowanie planów użycia artylerji byłoby napotkało bardzo często na komplikacje nie do rozwikłania, gdyby nie rozporządzano wspomnianym słownikiem.

Tak więc jego używanie, szybko rozpowszechnione, wyraziło się w ogromnych korzyściach, dających się streścić następująco:

spopularyzowanie taktycznego użycia artylerji,

uproszczenie żądań ognia i odciążenie rozkazów, dotyczących użycia artylerji,

zysk na drogocennym czasie, osiągnięty zarówno w przesyłaniu telefonicznem, jak i w redagowaniu rozkazów.

To wszystko stanowi postęp niewątpliwy, korzystny we wszystkich postaciach rzeczy, a szczególnie wartościowy, gdy chodzi o działania szybkie, jak te, które charakteryzują wojnę zwaną ruchową.

Lecz jeśli słownictwo taktyczne zadań i ogni artyleryjskich posiada powyższe właściwości dodatnie, nie jest ono bezwzględnie doskonałe. Nic w tem zresztą dziwnego.

Podobnie jak każdy budynek, wystawiony bardzo pośpiesznie pod naciskiem potrzeby, pozbawione jest ono niewątpliwie gładkości, a napewno i jednolitości.

Możnaby więc dążyć do jego ulepszenia, wnosząc więcej metody i więcej staranności w podziale zadań i oznaczaniu ogni.

Ale sądzimy, że trzeba dużej ostrożności, jeśli pragnie się naruszyć obecne słownictwo.

Weszło ono już w zwyczaj.

Zmiana nazw naraziłaby na wytworzenie zamieszania i na powrót wzajemnego niezrozumienia, jakie oddzielało artylerję od innych broni przed przyjęciem wspólnej mowy. Poszukiwane ulepszenie mogłoby w ten sposób wypaczyć osiągnięty postęp.

Zarzucano niekiedy słownikowi taktycznemu zadań i ogni artyleryjskich, że jest zbyt obszerny. Jeśli jest bogaty, pochodzi to stąd, że rozmaite sposoby możliwego wyzyskania ogni artylerji są liczne; tak było zawsze (jak to wspomnieliśmy powyżej) i sądzimy, że będzie zawsze tak samo.

Może dałoby się wyobrazić, że w przyszłości, w działaniach na wąskim froncie (a szczególnie w razie ustalenia), stosowanie bardzo dużej gęstości nowoczesnej artylerji pozwoliłoby sposób użyciu tej broni ograniczyć do jedynego typu: masywne ześrodkowania ognia na duże strefy. Natomiast sądzimy, że w wojnie ruchowej zadania artylerji będą zawsze bardzo rozmaite, z racji zasadniczo zmiennego charakteru działań. Im zaś mniejsze będą rozporządzalne ilości dział i amunicji, tem lepiej trzeba będzie posługiwać się niemi, co prowadzi siłą konieczności do specjalizowania każdego ognia do zadania ściśle określonego, odpowiadającego dokładnie potrzebom chwili.

Słownik, pozostawiony nam przez wojnę, obejmuje z piętnaście wyrazów lub wyrażeń.

Liczba ta nie wydaje się być przesadzona. Przytem ważność roli, jaką odgrywa artylerja, zasługuje w zupełności na to, aby na wszystkich szczeblach dowództwa i we wszystkich broniach przyswoić sobie język, który pozwala być przez nią zrozumianym i ją rozumieć.

Zubożyć ten język znaczyłoby uczynić go mniej jasnym. Nie pozbawiajmy się choćby jednego ze słów, pozwalających piechocie dobrze powiedzieć to, czego chce od artylerji; dokładajmy starań, często nim mówiąc, ażeby język ten tym sposobem pozostał ciągle żyjący!

Zresztą należy przyznać, że potrzebny do władania nim wysiłek pamięci jest bardzo nieznaczny; słowa, przyjęte dla wyrażenia zadania lub celu, zamierzonego przez taki lub taki ogień, zostały zapożyczone z języka potocznego; dzięki temu, są zrozumiałe

i łatwe dla wszystkich do zapamiętania; i w tem właśnie, naszem zdaniem, zawiera się ich najważniejsza zaleta [1]).

A więc zamkniemy wywody tem, że wydawałoby się nam rzeczą niewskazaną wprowadzić zmiany, choćby nieznaczne, w omawianem słownictwie, zważywszy, że zostało ono uświęcone wojną i przeszło od dwunastu lat weszło w powszechny użytek.

Z tej ostatniej uwagi wynika, że słownictwo taktyczne ogni artyleryjskich dziś nie jest już wyłączną własnością artylerzystów; należy ono do wszystkich [2]).

Kwestja wprowadzenia w niem zmian, gdyby została dopuszczona, przekraczałaby więc kompetencję artylerji; mogłyby ją uregulować tylko naczelne władze wojskowe, po gruntownej ankiecie, przeprowadzonej wśród wszystkich broni.

Studjum krytyczne, któremu się oddajemy, byłoby niezupełne, gdybyśmy nie spojrzeli teraz na słownictwo ogni artyleryjskich z punktu widzenia przeciwnego, niż ten, na którym staliśmy dotychczas.

Przypomnieliśmy, że przyjęte nazwy wyrażają, w postaci zwięzłej a jasnej, pojęcia taktyczne lub przynajmniej wyniki taktyczne, które mają być poszukiwane przez wykonanie takiego lub innego ognia; podkreśliliśmy też poważne wygody, które takie słownictwo daje dowództwu i piechocie dla wyrażania rozkazów lub żądań, kierowanych do artylerji.

Stańmy teraz po stronie przeciwnej, t. zn. po stronie wykonawcy-artylerzysty, otrzymującego rozkaz lub żądanie ognia, i starajmy się zobaczyć, w jakiej postaci przedstawiają się one jemu. Z określenia, oznaczającego ogień do wykonania, artylerzysta zrozumie odrazu, o jakie chodzi zadanie taktyczne; w tem tkwi podstawowa korzyść, którą tak mocno podkreśliliśmy.

Lecz czyż temu artylerzyście-wykonawcy wystarcza znać taktyczną nazwę pewnego ognia, aby bez wahania wyprowadzić z niej *prawidła techniczne*, które wypada zastosować do wykonania go?

---

[1]) Należy zauważyć, że utworzenie podczas wojny słownictwa taktycznego ogni artylerji jest zjawiskiem powstałem we wszystkich wojskach wojujących. Fakt, że przyjęte wyrażenia wypadkiem są wszędzie prawie te same, wskazuje wyraźnie, iż dopuszczone rozwiązanie nie jest bynajmniej złe.

[2]) Nie zapominając licznych roczników oficerów rezerwy, oswojonych z obecnym słownikiem, których zmiana niechybnie zdezorjentowałaby.

Nie. Poza bardzo rzadkiemi wyjątkami, obecna terminologja, w przeciwieństwie do przedwojennej, już nie charakteryzuje ściśle określonych mechanizmów ognia.

Dowódca dywizjonu lub baterji, który ma kierować ogniem, znajduje się tedy w obliczu zagadnienia postawionego wyraźnie pod względem taktycznym, ale określonego zupełnie niewyraźnie co do rozwiązania technicznego.

Przytem artylerzysta ceni nadewszystko dokładność we wszystkiem, a my będziemy się dobrze strzec wyrzucania mu tego tak szczęśliwego nastawienia umysłu.

Chciałby on tedy wiedzieć, ilekroć żąda się od niego ognia, jakiejby powinien użyć metody wstrzeliwania, jakiego mechanizmu skuteczności, jakich pocisków i jakich zapalników.

Fatem jest, że są to sprawy pierwszorzędne, bo bez ich należytego rozwiązania artylerja nie potrafi dobrze się sprawić. Uznajemy więc otwarcie, że artylerja, jako broń wykonawcza, ma obowiązek dołożyć starań około wprowadzenia w czyn swych środków, w celu uzyskania wyników, jakich się po ich ogniu można spodziewać.

Lecz czy te starania mają prowadzić do *drobiazgowego* uregulowania sposobu wykonania każdego z ogni, którego nazwa taktyczna widnieje w słowniku? Jest to sprawa, którą zamierzamy przedyskutować.

Aby ustalić matematycznie prawidła techniczne ognia, odpowiadającego określonemu zadaniu taktycznemu, możnaby się odwołać tylko do praw rządzących skutecznością ognia artylerji.

Gdyby prawidła istniały w postaci bezwzględnie pewnych wiadomości praktycznych, byłoby łatwo zestawić obliczenia lub tabele, skądby się w każdym wypadku wyprowadziło rodzaj wskazanej amunicji, pożądaną gęstość, a wskutek tego zużycie, jakie można dopuścić.

Na nieszczęście, skuteczność ognia jest rzeczą niemożliwą do zebrania w formuły, pomimo wszelkich w tej sprawie wysiłków.

Jedyny rodzaj ognia nadaje się do obliczeń: *ogień burzący.* Jak wiadomo, stosując prawa rozrzutu, można określić dość dokładnie całkowitą ilość strzałów, jakie należy oddać na pewien przedmiot, aby uzyskać potrzebne zniszczenie [1]).

---

[1]) Można przytem zauważyć, że wynik, osiągnięty przez taki rachunek, jest bardzo mało dokładny, ponieważ wskazuje on tylko maksymalną ilość strzałów, a nie można wiedzieć nigdy, czy strzały skuteczne zdarzą się na początku czy pod koniec strzelania.

Poza tym wypadkiem, t. zn. kiedy cel stanowią ludzie, staje się wobec zagadnienia, które wymyka się wszelkim prawidłom.

Przed wojną udało się francuskiemu generałowi Tarielowi ułożyć w formuły matematyczne skuteczność ognia szrapnelami 75 na piechotę stojącą lub klęczącą. Jednak formuły te przedstawiają małą wartość: po pierwsze dlatego, że cele takie są rzadkie na nowoczesnych polach bitwy, a zwłaszcza dlatego, że nie liczono się w obliczaniu z wywoływanem przez ogień działaniem moralnem.

Tymczasem *działanie moralne* jest czynnikiem, który przy każdem strzelaniu na ludzi odgrywa rolę ważną, a nieraz decydującą. Należałoby więc koniecznie brać je w rachubę przy wyrażaniu skuteczności pewnego ognia, a jest to rzecz niemożliwa do zrobienia z pewną dokładnością.

Istotnie, wrażenie, wywarte na duchu przeciwnika, zależy od szeregu okoliczności lub warunków, które przeważnie wymykają się z pod oceny dowódcy strzelania.

Pod tym względem można odnieść się tylko do kilku reguł, dosyć nieuchwytnych, jak np. te, które tu przypomnimy [1]):

skutek moralny, wywołany ogniem, rośnie (w proporcji znacznej, lecz nieznanej) wraz z powstającemi wynikami materjalnemi (zabici, ranni, zniszczenia, wstrząs ziemi i powietrza); [2])

jest on tem większy, im większa jest gęstość ognia w ciągu minuty;

łatwiej go uzyskać na oddziale odsłoniętym lub źle ochronionym, niż na przeciwniku posiadającym głębokie okopy i mocne schrony;

zmienia się w stosunku odwrotnym do wartości bojowej ostrzeliwanego oddziału;

może zresztą zmieniać się w czasie u tego samego oddziału, zależnie od tego, czy jest mniej lub więcej znużony, mniej lub więcej nakarmiony i mniej lub więcej wstrząśnięty.

Z drugiej strony, jeśli można przypuścić, że najwyższy skutek moralny zostanie uzyskany przez zastosowanie ognia bardzo skupionego w przestrzeni i w czasie, to natomiast nie można znać napewno granicy trwania, przy której wywołany skutek

---

[1]) Patrz artykuł tegoż autora, pod tytułem: „Działanie moralne ognia artyleryjskiego", który ukazał się w zeszycie luty—marzec 1926 „Przeglądu Artyleryjskiego".

[2]) Z czego wynika, że kiedy zmierzamy tylko do obezwładnienia, ogień ten jest tem skuteczniejszy, im celniejszy.

moralny przestanie dać się odczuwać; oddziały „kiepskie" wypadną może z rachuby na całą resztę dnia, a nawet na dni kilka; bardzo dobre oddziały, przeciwnie—zdołają odzyskać swą wartość bojową w bardzo krótkim czasie po ustaniu ognia.

Wobec tych niewiadomych, należy więc przyznać, że jest rzeczą niemożliwą ustalić zgóry i ostatecznie stopnie gęstości, jakie wypadnie przyjąć w przyszłej wojnie dla wykonania ogni, zmierzających do wywołania obezwładnienia — wypadku najczęstszego przy strzelaniu na ludzi.

Wydaje się nam więc słuszne nie dążyć do zbyt ścisłej reglamentacji mechanizmów ognia, przeznaczonego do działania na ludzi; byłoby to rzeczą chimeryczną!

Natomiast dobrze jest zapamiętać gęstości, jakie dla tych ogni podają regulaminy francuskie; są to naprawdę wiadomości cenne, ponieważ są owocem długiego doświadczenia wojennego [1]).

Daliśmy wciągnąć się w rozprawę nieco przydługą, za co przepraszamy. Spełni ona swój cel, jeśli udało się nam wykazać, że złudnem byłoby chcieć wpisać przy każdej z nazw, oznaczających taktycznie ognie artylerji, reguły niezmienne, ustalające mechanizm ich wykonania technicznego.

Prócz tego, że zbyt ścisłe reguły mogłyby okazać się w doświadczeniu wojennem złe, przedstawiałyby one jeszcze jedno niebezpieczeństwo.

Artylerzysta, obarczony wykonaniem ognia, starałby się stosować zawsze dokładnie mechanizm ustalony przez regulamin: front, jaki należy przydzielić baterji, głębokość, jaką trzeba ostrzelać, gęstość i tempo ognia, zużycie amunicji i t. d.

Gdyby było możliwe wykonać ogień, odpowiadając wszystkim warunkom postawionym przez regulamin, sądziłby, bez względu na tok sprawy, że pracę swą spełnił całkowicie. Naodwrót, gdyby stwierdził, że nie rozporządza ilością dział lub amunicji, odpowiadającą wskazaniom regulaminowym, sądziłby, że nie ma prawa wykonać żądanego ognia.

Podobnej ciasności w pojmowaniu roli artylerji w walce należy bezwzględnie unikać; prowadziłaby ona, choć nową drogą, do przykrych błędów, potępionych przez doświadczenie wojenne.

[1]) Oczywista, że podczas pokoju nigdy nie będzie się przeprowadzało strzelań doświadczalnych na wojska schronione lub nie, w celu ustalenia prawideł ognia, które zresztą miałyby tylko względną wartość.

To też sądzimy, że należy właśnie przeciwstawić się prądowi, który objawia się od wojny [1]), a który dąży do określania pod względem technicznym każdego z ogni, istniejących w słowniku taktycznym.

Oczywiście, że jest potrzebne, aby regulaminy artylerji, które określają mechanizmy ogni dokładnych, dostarczały zarazem wskazówek co do sposobów strzelania, jakie należy zastosować dla spełnienia rozmaitych zadań taktycznych; są to wiadomości cenne, niezbędne dla wykonawców. Jednak trzeba się strzec przypisywania tym wskazówkom znaczenia reguł bezwzględnych i nienaruszalnych.

Artylerzysta powinien nadal w dziedzinie wykonawczej korzystać z dużej swobody, pozwalającej mu okazać miarę jego sztuki.

Zadanie bowiem to jedna rzecz, wykonanie zaś jest rzeczą drugą.

Do dowództwa wzgl. do piechoty należy informowanie artylerji co do pierwszego, posługując się taktycznem słownictwem ogni, tak szczęśliwie w tym celu stworzonem.

Rzeczą dowódcy artylerji jest ustalenie sposobów wykonania ognia, zgodnie ze spełnieniem celu taktycznego, biorąc w rachubę okoliczności i środki, jakiemi rozporządza.

To pewna, że praca, która w ten sposób przypada podczas boju dowódcy dywizjonu lub ugrupowania artylerji, jest znojna i ciąży poważną odpowiedzialnością.

Jednakowoż nie byłoby odciążeniem ani ułatwieniem skrępowanie dowódcy taktycznego artylerji siecią prawideł technicznych, których wątpliwa wartość nie mogłaby usprawiedliwić ich ciasnoty.

Wnioski.

Kończymy tę analizę przez streszczenie wniosków, do jakich doszliśmy. Można wyrazić je w niewielu słowach.

1) Słownictwo, które wielka wojna zostawiła nam w spuściźnie do taktycznego oznaczenia zadań i ogni artylerji, jest proste, jasne i wystarczająco ścisłe. Dzięki niemu, porozumienie między dowództwem a różnemi broniami co do użycia artylerji,

[1]) Techniczne prawidła wykonania zostały podczas wojny formalnie ustalone tylko *dla jednego ognia*: ruchomego ognia zaporowego. Dla wszystkich innych ogni regulaminy francuskie dały jedynie wskazówki przeciętne.

jest ogromnie ułatwione, a to stanowi poważny postęp i zachowanie płynących z niego korzyści jest konieczne dla dobra sprawy.

2) Nie należy słownictwa ogni wytrącać z jego roli, starając się każdemu ze składających się na nie określeń przypisać znaczenie ścisłe pod względem technicznym. Groziłoby to brakiem zwartości, wskutek pomieszania zadań z wykonaniem.

Tymczasem są to dwie rzeczy, które powinno się wyraźnie odróżniać, ponieważ pierwsza jest celem, podczas gdy druga — środkiem i powinna z tej racji dać się dostosować do okoliczności.

MJR. ROMUALD SIDORSKI.

MASKOWANIE W WOJNIE RUCHOWEJ.

Maskowanie podczas wojny światowej.

Charakterystyczną cechą większości działań wojennych w wojnie światowej jest stabilizacja frontów i związana z nią wojna pozycyjna. Objaw ten wywarł decydujący wpływ na zagadnienie maskowania. Doświadczenia w zakresie maskowania, płynące z wojny światowej, są jednostronne. Zaciążyły one w dobie powojennej na wszystkich instrukcjach, traktujących o maskowaniu. Zanim przejdziemy do bardziej szczegółowych wniosków, scharakteryzujemy rozwój maskowania w toku wojny światowej, a ściślej biorąc—w toku walk pozycyjnych wojny światowej.

Z chwilą okrzepnięcia linij bojowych po krótkim na froncie zachodnim a nieco dłuższym na froncie wschodnim okresie walk ruchowych i w miarę rozwoju techniki fortyfikacyjnej, obserwujemy u stron walczących dążenie do maskowania zarówno urządzeń obronnych jak i sprzętu, znajdującego się w obrębie donośności dział nieprzyjacielskich. Na froncie zachodnim, który był frontem walk o wysokim poziomie technicznym, poziom sztuki maskowania jest najwyższy. Maskowanie rozwija się tam w dwóch kierunkach:

a) jako maskowanie bezpośrednie,
b) „ „ pośrednie.

Maskowanie bezpośrednie dążyło do ukrycia przedmiotów sztucznych w terenie i do upodobnienia ich do otoczenia, zaś maskowanie pośrednie—do mylenia przeciwnika, do zwracania jego uwagi w fałszywych kierunkach.

Doświadczenia z zakresu maskowania czynione były naogół kosztem bardzo licznych i ciężkich strat. Strat tych w znacznej części można było uniknąć, gdyby zagadnienie maskowania było

przed wojną w dostatecznym zakresie przewidziane i wystudjowane.

Zagadnienie maskowania nie było w zasadzie zupełnie nowe dla walczących armij, gdyż już przed wojną światową była poruszana kwestja maskowania, w postaci ukrycia lub malowania fortyfikacyj stałych i ukrycia fortyfikacyj polowych; była również poruszana kwestja munduru o barwie ochronnej. Zwróciła przecież uwagę na maskowanie wojna rosyjsko-japońska. Zakres tych studjów przedwojennych był za mały. Maskowanie nie mogło wystąpić w wojnie światowej jako czynnik zaskoczenia.

To też armje, nie zdające sobie w dostatecznej mierze sprawy ze znaczenia maskowania, same zostają zaskoczone przez rzeczywistość pola bitwy. Zostają zmuszone do dorywczego rozwiązywania zagadnienia maskowania.

Okop, dający początkowo względnie dobrą osłonę przed niespotykaną dotychczas potęgą ognia, miał tę ujemną stronę, że odcinał się od otoczenia, przez co wskazywał na umiejscowienie żywej siły w terenie.

Konieczność zwalczania przeciwnika okopanego powodowała, z jednej strony, szybki rozwój sprzętu artyleryjskiego i wyścig w kierunku jego ilości, donośności, szybkostrzelności, kalibru i celności, z drugiej zaś strony—była przyczyną bardzo intensywnego rozwoju maskowania, które miało zapewnić fortyfikacji niedostrzegalność ze strony przeciwnika, a przez to i bezpieczeństwo, chociażby tylko ograniczone w czasie.

Czujna jednak i dokładna obserwacja przeciwnika nie pozwalała bezkarnie wykonywać prac fortyfikacyjnych: maskowanie zaczęło wyprzedzać rozpoczynanie samych prac fortyfikacyjnych.

W pierwszym już okresie walk pozycyjnych rozwija się bardzo szybko maskowanie pośrednie, szczególnie budowa fortyfikacyj pozornych. Wkrótce teren, zajmowany przez walczących przeciwników, przedstawia labirynt rowów, w których porozmieszczana jest załoga.

Sposób ten, przy dużym nakładzie pracy, którą musiały wykonywać oddziały obsadzające poszczególne odcinki, pozwalał na stosunkowo dużą oszczędność sił, użytych do obsady pierwszej linji bojowej, dawał nawet w poszczególnych wypadkach sukcesy lokalne. Znaczenia rozstrzygającego sposób ten nie miał, gdyż przeciwnik, grupujący odpowiednio silną artylerję na danym odcinku natarcia, był w stanie zamienić wszystkie rzeczywiste i pozorne fortyfikacje w jedno pole lejów, a wszystkie okazujące, mi-

mo to, żywotność cele—niszczył lub obezwładniał dostatecznie gęstym ruchomym ogniem zaporowym.

Nie zawsze i nie wszędzie jest możliwy taki ogień. Tam, gdzie został wykonany, zawodziły wszelkie sposoby maskowania, z wyjątkiem zmylenia przeciwnika co do obsady całokształtu pozycji, polegającego na pozostawieniu na pozycji głównego oporu, przeciwko której przeciwnik ugrupował swoją artylerję, jedynie czat, wspartych artylerją, a ugrupowaniu głównych sił na pozycji leżącej poza donośnością artylerji przeciwnika. Natarcie, po przełamaniu oporu czat, posuwało się dalej do chwili napotkania na zorganizowane przeciwnatarcie dotychczasowego obrońcy, który zdolny był nietylko do zatrzymania dalszego posuwania się, ale nawet do wyzyskania swych sukcesów, przez przejście do działań zaczepnych (armja Gouraud, lipiec 1918).

Okop, mimo, że został uzupełniony schronami betonowemi oraz ciężkiemi schronami podkopowemi, dawał coraz mniejsze zabezpieczenie obsadzie, gdyż ściągał potężny ogień artylerji przeciwnika. Piechota, bez narażania się na zupełne zniszczenie, nie mogła ostać się w okopie. To też piechota zaczęła umieszczać swój najcenniejszy sprzęt, jak ciężkie karabiny maszynowe i miotacze, poza okopem, w wolnym terenie, najczęściej w lejach od bomb i pocisków artylerji ciężkiej, zwłaszcza znajdujących się na stokach przeciwległych, zakrytych przed obserwacją naziemną. W ten sposób powstały po stronie niemieckiej stanowiska karabinów maszynowych „milczących" (Schweigmaschinengewehre) lub ich grupy, rozsypane i ukryte w terenie. Zczasem sama piechota porzuca okop, rozprasza się w terenie w postaci małych grup bojowych, znajdujących w wyrwach i lejach dostateczne schronienie przed obserwacją naziemną przeciwnika.

Pod wpływem tych przeobrażeń taktyczno-technicznych, obserwator naziemny nie odkrywa żadnych prawie celów; o ewentualnem rozmieszczeniu pojedyńczych grup obrońców świadczą jedynie wydeptane ścieżki, które również są pilnie maskowane, a któremi zdąża pod osłoną mgły lub nocy zaopatrzenie, względnie odbywa się luzowanie wyczerpanych oddziałów.

W tym to okresie, dowództwo zdobywa drogą obserwacji naziemnej z wielkim trudem wiadomości o nieprzyjacielu. Najlepszym obserwatorem staje się ten, kto na podstawie zupełnie drobnych, napozór mało znaczących, spostrzeżeń wnioskuje o zamiarach przeciwnika, a przez to daje dowództwu materjał informacyjny, który może być poddany sprawdzeniu przez lotnika.

Wpływ lotnictwa na maskowanie.

Obserwacja lotnicza była tem nowem zjawiskiem wojny światowej, które w zakresie maskowania uczyło bardzo wiele, jednak również kosztem ciężkich nieraz strat.

Maskowanie bezpośrednie i pośrednie, które wystarczały przeciw obserwacji naziemnej i dostosowywały się skutecznie do czynnika przemocy technicznej ognia, przeciw lotnictwu okazały się niewystarczające. Nie pomagała już mnogość fortyfikacyj ani zniszczenia, tworzące formy nieregularne terenu i zwiększające ilość drobnych zasłon.

Rozproszenie się obrońców w nierównościach terenu i lejach od pocisków, ukrywające ich przed okiem i szkłem obserwatora naziemnego, nie wystarczało wobec lotnictwa obserwacyjnego. Rozproszenie nie ukrywa zupełnie przed okiem i szkłem obserwatora lotniczego, jak i przed jego kliszą fotograficzną.

Szczególnie widoczny dla lotnika, jak i uwidaczniający się na kliszy fotograficznej, jest cień tak postaci ludzkich, jak i sprzętu, pozwalający na stwierdzenie przez przeciwnika obecności i umiejscowienia żywej siły.

Prowadzi to do szybkiego rozwoju obrony przeciwlotniczej, a zatem i do staranniejszego maskowania, jako formy biernej obrony przeciwlotniczej.

Maskowaniu, wysilającemu się do tej pory w kierunku upodobnienia do otoczenia tak umocnień terenu, jak wszelkich prac i urządzeń na polu bitwy i to nakładem wielkiej ilości sił, czasu i materjału, przybywa nowe zagadnienie do rozwiązania, a mianowicie: ***konieczność usunięcia cieni poszczególnych przedmiotów***:

a) cienia własnego, leżącego na przedmiocie po stronie nieoświetlonej,

b) cienia rzuconego, padającego od oświetlonego przedmiotu na jednolicie oświetloną płaszczyznę terenu, a widocznego na niej w postaci ciemnej plamy.

Zagadnienie to do końca wojny światowej nie zostało pomyślnie rozwiązane.

Próbowano zakryć cień okopów siatkami drucianemi, z wplecionemi w nie różnobarwnemi włóknami rafji lub paskami płótna. Unikano ostrych krawędzi w budowlach. Były to tylko półśrodki.

Szybki rozwój lotnictwa jest powodem bardzo pilnego i starannego studjum maskowania ze strony naszych sąsiadów. Cały szereg pomysłów, będących w próbach lub objętych instrukcjami

maskowania, ma dać tę poszukiwaną przez wszystkich „czapkę niewidkę" na polu bitwy.

Płaszcze ochronne z różnobarwnej tkaniny, płaszcze ochronne białe — w zimie, malowane w różnobarwne plamy — w lecie, mają, jeśli już nie zamaskować żołnierzy w terenie, to przynajmniej utrudnić ich wykrycie.

Płachta namiotowa, rozpostarta nad strzelcem, ma maskować tak jego samego, jak i rzucony przez niego cień oraz wykonaną przy kopaniu wnęku strzeleckiego pracę. Łączenie płacht namiotowych szeregowo i poziome rozpostarcie ich ma zamaskować okop. Poziome rozpostarcie szerokich masek wiszących ma zapewnić niewidoczność stanowisk bateryj, dworców kolejowych, miejscowości lub ważnych budowli, jako też ważniejszych dróg kołowych i kolejowych.

Uniknięcie cienia ma się osiągnąć przez nadanie przedmiotom t. zw. „przeciwcieniowej formy", t. j. łagodnie opadających ścian bocznych, o kątach nachylenia mniejszych od kąta padania światła.

Ukrycie większych przedmiotów, względnie trudność ich rozróżnienia, ma zapewnić deformacja cieni, polegająca na sztucznych dobudówkach, które przez swe nienaturalne cienie mają uniemożliwić lub znacznie utrudnić odczytanie fotografji lotniczej. Pomocne ma być również i sztuczne przekształcanie terenu, na który cień pada, przez tworzenie n. p. nasypów i rowów, które mają cień skracać, wydłużać lub zniekształcać.

Maskowaniu pośredniemu (pozorowaniu) poświęca się również wiele uwagi. Sztuczne stogi siana, pnie drzewne ze stali, sztuczne kupy kamieni, sztuczne mogiły, trupy końskie ze stali [1]) i t. p. przedmioty, mają ukrywać obserwatorów lub stanowiska dowództw.

Jeśli dodamy maskowanie darnią, maskowanie przez zasiewanie roślin oraz maskowanie przez zasłony dymne, otrzymamy w sumie wielki i ciężki arsenał środków maskowania, używanych w wojnie światowej, a uzupełnionych częściowo nowemi pomysłami.

Musimy zastanowić się, czy sposoby maskowania, stosowane w wojnie światowej, będą mogły być wprowadzone w przyszłych

---

[1]) Zastosowanie skóry z padłych koni, o którem mowa w „Bellonie", tom XXIX, zesz. 3, str. 346, uważam za nieporozumienie.

działaniach wojennych bez zastrzeżeń i czy użycie ich będzie celowe, potrzebne i wogóle możliwe.

Zagadnienie maskowania jest dla wykonawców pewnego rodzaju zadaniem taktycznem, którego rozwiązanie jest uzależnione każdorazowo od położenia, otrzymanego zadania i terenu.

Zagadnienia maskowania, rozwiązywane w czasie wojny światowej, wyłaniały się z potrzeb wojny pozycyjnej i tym potrzebom służyły. Podporządkowały się te zagadnienia konieczności taktycznej frontu stałego, opartego na skrzydłach. Dlatego też wszystkie doświadczenia, poczynione w wojnie światowej, możemy uznać za jednostronne ujęcie maskowania. Maskowanie w wojnie światowej—to maskowanie w wojnie pozycyjnej.

Czy przeciwstawiając pojęciu wojny pozycyjnej pojęcie wojny ruchowej, możemy w konsekwencji mówić o *maskowaniu w wojnie ruchowej?*

Zagadnienie maskowania w wojnie ruchowej.

Zagadnienie maskowania w wojnie ruchowej będzie istniało, gdyż te same warunki, które zmuszały do maskowania w wojnie pozycyjnej, będą istniały nadal. Zawsze czynna będzie obserwacja naziemna i lotnicza, a cele widoczne będą narażone na ogień nieprzyjacielskiej artylerji oraz ostrzeliwanie przez karabiny maszynowe i bombardowanie ze strony nieprzyjacielskiego lotnictwa.

Potrzeba maskowania istnieje, zmienia się natomiast forma walki. W wojnie pozycyjnej przeważa ogień, w wojnie ruchowej przeważa ruch.

Z trzech wymienionych powyżej elementów decyzji, zmieniają się całkowicie:

położenie,
zadanie,

zaś zmienia się częściowo i teren.

Położenie obronne z brakiem przewagi zmienia się na położenie zaczepne z przewagą sił i środków na całości lub części frontu.

Zadanie obronne i konieczność utrzymania terenu wbrew woli przeciwnika zmienia się w zaczepne, z koniecznością zajęcia terenu wbrew woli przeciwnika.

O ile chodzi o teren, to zmienia się on, gdyż odpada większość sztucznych budowli i odpada zniekształcenie jego normalnego wyglądu przez zniszczenia.

Zanim jednak przejdziemy do wniosków, rozpatrzmy nieco

bliżej możliwości stosowania sposobów wojny pozycyjnej w nowych warunkach.

W wojnie pozycyjnej rozporządzano dużą ilością sił roboczych i czasu. Zaopatrzenie dopływało regularnie po zorganizowanych komunikacjach, a dowiezienie potrzebnego do maskowania materjału nie przedstawiało żadnych specjalnych trudności. Były więc korzystne warunki do budowania pozornych okopów, wytwarzanie sztucznych, stalowych pni lub trupów końskich, dowożenia materjałów pomocniczych i farb na miejsce przeznaczenia.

W wojnie ruchowej, warunki wewnątrz kraju naogół nie zmienią się i doświadczenia wojny światowej będą mogły być wpełni zastosowane. Na tyłach frontu i w etapie czas, siły i środki będą znacznie ograniczone. Natomiast na samym froncie armje walczące mogą mieć siły dostateczne do wykonywania pewnych prac maskujących, braknąć im jednak może tak środków, jak i czasu do wykonania ich w takim zakresie, jak wykonywano je w walkach pozycyjnych podczas wojny światowej.

Dopływ materjału będzie mniejszy, brak będzie czasu i same warunki walki ruchowej będą odstręczały od wykonywania prac, które mogłyby stać się w krótkim czasie zbędne.

Jeżeli zaś nieprzyjaciel zastosuje ten sam sposób walki, to i on nie da czasu na wykonanie większych prac maskujących.

Będą wprawdzie w wojnie ruchowej części frontu bierne, obsadzone małą ilością sił, na których byłby czas wykonać pewną ilość prac maskujących, gdyby nie to, że siły przeznaczone do ich obsadzenia nie będą zdolne do tego ani liczebnie, ani pod względem środków. Nie może być zatem również mowy o wykonaniu maskowania na wzór frontu zachodniego. W wojnie ruchowej trzeba zerwać ze sposobami maskowania, stosowanemi na frontach ustalonych.

Sama potrzeba zamaskowania tak swoich przygotowań, jak i samych oddziałów, istnieje jednak nadal i to w zakresie może szerszym, niż w wojnie pozycyjnej, gdyż zamaskowanie przygotowań jest zasadniczym warunkiem uzyskania zaskoczenia, jednego z podstawowych warunków powodzenia.

Moment zaskoczenia jest kwestją tak uznaną, że nie będę jej motywował, a zajmę się jedynie wykonaniem.

Wiemy dobrze, jak trudno jest ukryć samą obecność większych jednostek w poszczególnych okolicach, wiemy również, że

ukrycie ich ruchów jest nieraz wręcz niemożliwe. To samo odnosi się do ruchów organów zaopatrujących, które są stale czynne.

Konieczność pokonania tych trudności zmusza nas do pilnego i wszechstronnego przestudjowania zagadnień maskowania już w czasie pokoju, by obmyślić i przygotować takie sposoby i środki, któreby zapewniały dowództwu zupełną tajemnicę przygotowywanych działań, a samym oddziałom — ukrycie aż do chwili ich wystąpienia.

Rozpatrzyć to zagadnienie pod kątem widzenia potrzeb wojny ruchowej musimy tem bardziej, że jesteśmy świadkami zupełnie zdecydowanej reakcji przeciw przewadze w działaniach wojennych okopu z równoczesnemi dążnościami do zapewnienia walczącym wojskom większego ruchu, a z nim też i większych możliwości.

Zapoczątkował ją w r. 1920 nasz Wódz Naczelny przez zerwanie ze strategją okopów i „silnych pozycyj" i przez przejście do wojny ruchowej, „strategji świeżego powietrza", która zapewniła naszym nielicznym siłom potrzebny czas i przestrzeń, nie pozwoliła związać się im z czerwonemi „masami taranowemi", lecz umożliwiła odskoczenie i przegrupowanie, a wkońcu zupełne rozbicie czerwonej armji.

Cały szereg artykułów, zamieszczonych w prasie wojskowej, tak naszej jak i zagranicznej, traktujących o zagadnieniach wielkich jednostek kawalerji, broni pancernej, czołgów, jednostek zmotoryzowanych, transportów samochodowych, lotnictwa i t. p., świadczy, że reakcja ta zatoczyła bardzo szerokie koło, że cały szereg wybitnych umysłów wojskowych pracuje tak w kierunku organizacyjnym, jak i wyszkoleniowym, by zapewnić swoim armjom większą ruchliwość, a przez to i większe możliwości od tych, które dawała wojna pozycyjna, prowadzona na wyczerpanie przeciwnika.

Rozbiór zagadnienia i wnioski techniczne.

Stwierdziliśmy, że maskowanie w wojnie ruchowej będzie miało równie ważne znaczenie, jak w wojnie pozycyjnej, że wykonanie jego będzie znacznie utrudnione ze względu na brak przedewszystkiem czasu, a również i brak środków, które będzie trudno dowieźć lub czerpać z zasobów miejscowych.

Ukrycie przygotowań przez zamaskowanie urządzeń etapowych, wstrzymanie się od ruchu w dzień i marsze w nocy będą

musiały być i nadal stosowane, jak dotychczas w wojnie pozycyjnej [1]).

Jednak konieczność zamaskowania samych oddziałów na polu walki, oddziałów, które będą musiały wykonywać ruch i przypadać do terenu, by stać się niewidocznemi dla przeciwnika, zmusza nas do szukania nowych sposobów maskowania, odnoszących się do przedmiotów pola walki ruchowej.

Przedmiotami do zamaskowania na polu walki w wojnie ruchowej będą przedewszystkiem:

1) siła żywa,

2) sprzęt bojowy, który staje się coraz różnorodniejszy, potężniejszy i liczniejszy.

W studjum swem na pierwszem miejscu jako przeciwnika postawimy lotnictwo, gdyż każdy oddział będzie musiał liczyć się z obserwacją lotniczą; szczególnie wobec kliszy lotniczej ortochromatycznej lub panchromatycznej [2]) będzie zupełnie bezsilny i nie znajdzie sposobu zupełnego ukrycia się w terenie. Nawet zupełne powstrzymanie się od ruchu i upodobnienie się do otoczenia niewiele pomoże, gdyż zastosowanie filtru kolorowego de Watteville'a do przyrządów optycznych pozwala na odkrycie, i to bardzo szybkie, takiego unieruchomionego oddziału w terenie [3]).

By uniknąć strat i dorywczych improwizacyj, trzeba daleko idących przewidywań, badań teoretycznych pewnych nasuwających się zagadnień, doświadczeń praktycznych, wyciągnięcia i wykorzystania wniosków.

Zamaskowanie siły żywej miał zapewniać już przed rokiem 1914 mundur o barwie ochronnej, wprowadzony po raz pierwszy przez Anglików w Transwaalu i Japończyków w Mandżurji. Pilne badania doprowadzają do tego, że większość wojsk europejskich wychodzi w r. 1914 w pole w mundurze o barwie ochronnej, coprawda w każdem wojsku innej.

Anglicy mają barwę ochronną „khaki", Niemcy—„feldgrau" (zielono-szara, płaszcz o barwie brudno-szarej), Rosjanie—zielono-brązową, o jasnym odcieniu; płaszcz o barwie doskonale upodabniającej do barw przeważających w krajobrazie jesiennym i wiosennym, szczególnie w okolicach o glebie gliniasto-piaszczystej. Austrjacy wychodzą w pole ze swem „hechtgrau" (szaro-

---

[1]) Sposobami taktycznemi zamaskowania działań zajmuję się w studjum niniejszem tylko pobieżnie, nie chcąc rozszerzać ram dyskusji.

[2]) Moureu „Chemja i wojna" w tłum. ppłk. S. G. Zieleniewskiego, str. 151-152.

[3]) „ „ „ „ „ „ „ „ 97-98.

błękitne). Jedni Francuzi wychodzą w dawnych mundurach kolorowych, które zczasem zostają zamienione na „bleu d'horizont"; Austrjacy porzucają niebawem barwę „hechtgrau" (szaro-błękitną), zamieniając ją w czasie trwania wojny na ciemno-szarozieloną.

Na tem poprzestano w zakresie maskowania siły żywej. W toku wojny pozycyjnej były prace w tym zakresie z początku zbędne, gdyż z chwilą zamaskowania okopu, ukrywającego żywą siłę, zagadnienie było dostatecznie rozwiązane, tem bardziej, że lotnictwo, będące dopiero w stadjum rozwoju i organizowania się jako broń, nie stawiało zrazu na porządku dziennym potrzeby doskonalszego zamaskowania siły żywej.

Że jednak mundur o przyjętych barwach ochronnych nie był doskonały, wynikało już z wojny rosyjsko-japońskiej, gdyż Japończycy na swój mundur o barwie ochronnej nakładali płaszcze z cienkiego materjału o zabarwieniu podobnem do otoczenia.

W toku wojny światowej były sporadyczne wypadki stosowania białych płaszczy płóciennych w zimie, zaś w lecie barwnych, upodabnianych do otoczenia, które wydawano dla obserwatorów, czujek, patroli i t. p. wysuniętych posterunków.

Wyposażenie w płaszcze tego rodzaju całej walczącej piechoty nie zostało dokonane, gdyż było za kosztowne i niewykonalne z powodu braku surowców, wskutek nadmiernego ich zużycia.

Zagadnieniem ulepszenia sposobów zamaskowania żywej siły interesują się po wojnie państwa ościenne bardzo żywo. Instrukcje przewidują malowanie płaszczy maskujących celem upodobnienia do otoczenia, podają techniczne sposoby przyrządzania i stosowania farb i utrwalaczy farb, podają ciężar lub ilość poszczególnych barwników lub materjałów dodatkowych oraz sposoby wyplatania masek z roślinności, upodobniających do otoczenia i dających możność zbliżenia się na małe odległości.

Instrukcje te, w formie prostych przepisów, objaśnianych rysunkiem, przewidują wykonanie tych prac na froncie, w bezpośredniej niemal styczności z nieprzyjacielem; przewidują pozatem wykorzystanie pewnych gatunków ziemi lub torfu do zupełnie prostego wyrobu barwników, potrzebnych do maskowania (glina, kaolin, kreda, torf, zielona ziemia i t. p.).

Usiłowania te świadczą, że dotychczasowy mundur o barwie ochronnej już tej ochrony w dostatecznym stopniu nie daje i że istnieje konieczność dalszej pracy w tym kierunku.

Najwłaściwszem rozwiązaniem byłoby wprowadzenie takiego materjału na umundurowanie, któryby zupełnie odpowiadał warunkom, stawianym mu pod względem maskowania, t. j. uniewidaczniał oddziały czy poszczególnych ludzi przed wzrokiem obserwatora, nie był widoczny przy zastosowaniu filtrów kolorowych i nie dawał wyraźnych plam na kliszach chromatycznych.

Idealne byłoby umundurowanie sporządzone z takiego materjału, któryby dostosowywał się do każdorazowego otoczenia i przez to uniewidaczniał oddziały w terenie.

Niestety, takiego materjału niema, gdyż nawet materjały mieniące się z bliskiej odległości, z dalszej—dają wrażenie jednostajnej sylwetki i są dobrze dostrzegane przez obserwację naziemną oraz chwytane przez kliszę fotograficzną.

Jest jednak możliwy dalszy postęp w dziedzinie udoskonalenia barwy ochronnej munduru polowego i zanim rozpatrzymy pytanie, w jakim kierunku może on pójść, ujmijmy krótko poczynione w tym kierunku doświadczenia.

Konieczności upodobnienia się do otoczenia była przyczyną powstania munduru o barwie ochronnej, który wobec stosowanej wówczas obserwacji naziemnej był wystarczający. Byleby barwa munduru nie była za jasna, za ciemna lub zbyt odmienna od otoczenia, cel był do pewnego stopnia osiągnięty.

Jednak ciemne sylwetki postaci ludzkich na horyzoncie, szczególnie widoczne kiedy słońce świeciło poza celem, zmuszają do dalszych poszukiwań, które doprowadzają do pomysłu barw ochronnych zbliżonych nie do otoczenia o barwach zielono-brązowo-szarych, lecz do barwy nieba, odległych gór i lasów, jak np. szaro - błękitne „hechtgrau" u Austrjaków i „bleu d'horizont" u Francuzów.

Te wszystkie usiłowania nie zapewniają już obecnie oddziałom niedostrzegalności wobec lotnictwa, którego okres największego rozwoju przypada pod koniec wojny światowej i trwa ciągle po dzień dzisiejszy, każąc przypuszczać, że w przyszłych działaniach lotnictwo stanie się jedną z broni głównych.

Wobec lotnika, jednobarwny mundur będzie zdradzał się właśnie swą jednobarwnością, zaznaczającą się na kliszy fotograficznej odmienną plamą, jak i cieniem własnym postaci ludzkiej oraz jej cieniem rzuconym.

Istnieje więc nowe zagadnienie, którego wojna światowa nie rozwiązała, które w przyszłych działaniach wojennych może okazać się tem aktualniejsze, im mniej było przewidywane, a któ-

rego rozwiązanie w toku samych działań może być z różnych powodów niewykonalne.

Zanim rozpatrzymy możliwości w tym kierunku, zatrzymajmy się chwilę nad sposobami ukrycia się poszczególnych tworów przyrody przed ich naturalnymi wrogami, które to sposoby określamy ogólną nazwą prawa „mimikry", zwanego inaczej, coprawda nieco mylnie, prawem upodobnienia się do otoczenia.

Sposoby te dadzą zastosować się równie dobrze do ukrycia człowieka przed lotnikiem i jego objektywem, dając mu przez to większą niewidoczność, a przez to i zwiększone bezpieczeństwo.

Ze studjum prawa „mimikry" wyłaniają się następujące zasady:

1) *upodobnienie do otoczenia*, którą to zasadę wykorzystano przy wprowadzeniu munduru o barwie ochronnej;

2) *rozbicie płaszczyzny lub kształtu na szereg plam*, które dany kształt deformują i zmniejszają jego widoczność;

3) *zwalczanie cieni:* własnego i rzuconego;

4) *rozłożenie i rozproszenie promieni słonecznych*, padających na dany przedmiot, przez co on sam z małej odległości jest trudno dostrzegalny, na dalszej zaś odległości zaciera się i staje się zupełnie niewidoczny.

P r z y k ł a d y.

Ad 1) Mamy cały szereg owadów o zabarwieniu zupełnie identycznem do otoczenia, w którem przebywają, dzięki czemu dają rozróżnić się jedynie z bardzo bliskiej odległości (majka lekarska, pluskwiak jagodziak, żuk i t. p.).

Ad 2) Niektóre z wyżej zorganizowanych kręgowców (jak tygrys, pantera, hiena, żyrafa i t. p.), ptaki o różnobarwnem upierzeniu, gady i płazy, niektóre owady (motyle) o zabarwieniu nieraz jaskrawem, nieraz płowo-szarem, nie są naogół do otoczenia w swej barwie dostosowane z tej prostej przyczyny, że tryb życia narzuca im ciągłą jego zmianę. Posiadają one jednak dużą zdolność uniewidoczniania się dzięki myleniu oka tak przez barwę, jak i kształty plam, które rozbijając sylwetkę na szereg różnobarwnych płaszczyzn, sam kształt postaci doskonale ukrywają.

Ad 3) U całego szeregu zwierząt, szczególnie u owadów, spotykamy kształty płaskie i zdolność płaskiego przypadnięcia do ziemi, przez co unikają one tak cienia własnego, jak i cienia rzuconego. Pozatem spotykamy się z jaśniejszem zabarwieniem dolnych i bocznych części futra, skóry lub łusek, przez co cień padający na nie jest wyeliminowany (rozjaśniony), a przez to niewidoczny; cień zaś rzucony nie zlewa się razem z cieniem własnym, lecz staje się pozornie mniejszy, przez co jest mniej dostrzegalny przez dla oka.

Ad 4) Część zwierząt ma futro złożone z różnobarwnych włosów, ptaki—upierzenie z drobnych różnobarwnych piór, zaś gady i płazy—skorupę z drobnych różnobarwnych łusek, które padające na nie promienie słoneczne częściowo wchłaniają, częściowo rozkładają i rozpraszają, dzięki czemu np. zając, przepiórka, kuropatwa lub żmija, są z bliskiej odległości trudno dostrzegalne, na dalszej zaś—znikają dla wzroku zupełnie.

W dotychczasowym mundurze ochronnym widzimy zrealizowanie zaledwie zasady upodobnienia do otoczenia, które, jak wiemy, wobec lotnictwa nie wystarcza, tem bardziej, że w działaniach wojennych otoczenie to będzie bardzo często zmieniało się, zatem trudno będzie wypośrodkować jedną barwę.

Zasadę rozbicia kształtu na szereg plam zastosowano przy malowaniu płaszczy ochronnych i malowaniu sprzętu.

O próbach, podjętych celem zastosowania zasady 3 i 4 w maskowaniu żywej siły i sprzętu, specjalnie w wojnie ruchowej, nie spotyka się nigdzie wzmianki, z wyjątkiem zastosowania zasady 4 przez Niemców już przed wojną przy wyrobie sukna „feldgrau", trudno dostrzegalnego przez obserwatora oraz nie dającego specjalnie odbijających się od otoczenia, a widocznych na kliszy plam [1]).

Widzimy z powyższego, że tak widoczność przedmiotu, jak i jego barwa, nie są zjawiskami stałemi, nie podlegającemi żadnymi zmianom, lecz raczej zjawiskami zmiennemi, uzależnionemi od fizycznych właściwości powierzchni danego przedmiotu i od padających na nią promieni słonecznych.

Najczęściej w maskowaniu podczas wojny światowej o tem nie pamiętano i używano środków, które mimo efektów, doskonałych wobec oka ludzkiego, zdradzały zwykle maskowany przedmiot przed przeciwnikiem przy użyciu przez tegoż filtrów kolorowych lub klisz chromatycznych do zdjęć lotniczych.

Że uniknięcie widoczności poszczególnych przedmiotów, nawet przy użyciu klisz barwoczułych lub kolorowych filtrów, jest możliwe, świadczy wyżej przytoczony przykład niemieckiego sukna „feldgrau". Nie zapominajmy jednak, że wprowadzenie go poprzedził okres laboratoryjnych prób i badań, przeprowadzonych w sposób ściśle naukowy, potwierdzonych później doświadczeniem, która to metoda pracy była jedyną umożliwiającą tak dobry wynik.

Z maskowania w wojnie przyszłej musimy wykluczyć zgóry takie środki, któreby nie przeszły prób doświadczalnych, przy użyciu tak kolorowych filtrów, jak i zdjęć lotniczych na kliszach barwoczułych, i nie wykazały wobec nich swej obojętności barwnej.

---

[1]) Moureu „Chemja i wojna", str. 97—99.

Wyżej wspomnianych warunkom odpowiedzą takie materjały, barwy lub t. p. środki, mogące być zastowane, które dadzą powierzchnię na maskowanym przedmiocie, którąby padające na nią promienie słoneczne częściowo wchłaniała, częściowo rozkładała i rozpraszała, czyniąc sam przedmiot niewidocznym, o barwie obojętnej, dostosowującej się do każdego otoczenia o słabem natężeniu świetlnem.

Rozpatrując nasze umundurowanie o barwie ochronnej pod wyżej zaznaczonym kątem widzenia, stwierdzić trzeba, że kolor khaki, jako dający dużą przewagę promieni świetlnych o falach długich (odpowiadających barwom widma czerwonym, pomarańczowym i brązowym), uwidaczniających się specjalnie wyraźnie przy użyciu filtrów kolorowych, jak i klisz barwoczułych, jest do maskowania żywej siły niewystarczający oraz, że istnieje konieczność jego zmiany. Możliwem udoskonaleniem munduru polowego byłoby:

1. Wprowadzenie tkaniny, złożonej z kilkobarwnych nitek, którąby podające na nią promienie słoneczne częściowo wchłaniała, częściowo rozkładała na poszczególne barwy widma tęczowego i rozpraszała, dając przez to plamę trudno dostrzegalną w terenie, którąby na dalszą odległość dawała złudzenie lekkiej mgiełki, była przeto trudno dostrzegalna dla obserwatora uzbrojonego nawet w przyrządy optyczne z filtrami kolorowemi, jak również nie dawała zdecydowanych plam na zdjęciach lotniczych.

2. Wprowadzenie w kroju munduru pewnych zmian, a przedewszystkiem rozbicie go na szereg plam, więcej lub mniej regularnych, z wyżej opisanego materjału, jednak co najmniej w dwóch odcieniach (jaśniejszym i ciemniejszym), celem wykluczenia cieni własnych, leżących na częściach munduru w razie unieruchomienia postaci ludzkiej lub przypadnięcia jej do ziemi.

Mogłyby być w tym wypadku wprowadzone np. rękawy, lub tylko ich połowy, przód (kurtki), przód spodni—o zabarwieniu jaśniejszem, któreby neutralizowało cienie leżące na samym mundurze w razie np. przypadnięcie strzelca do terenu, kiedy zwykle niema cienia rzuconego na teren z powodu płaskiego przywarcia strzelca do terenu, a kiedy jego umiejscowienie zdradza przeważnie cień (własny), leżący na części jego postaci. O możliwościach postępu w tym kierunku świadczą wyżej wzmiankowane doświadczenia niemieckie, jeszcze przedwojenne, kiedy przy tworzeniu barwy „feldgrau" nie barwiono całej płaszczyzny sukna, ani nie tkano go z jednobarwnych nici, lecz dochodzono do niej przez

złożenie poszczególnych różnobarwnych nitek. Zielone nitki zasadnicze, jako przypominające barwę pól i lasów, uzupełnione pewnym dodatkiem nitek czerwonych i białych, dawały w ogólnem działaniu tej złożonej barwy na organ wzroku barwę zielonawo-szarą, nie odcinającą się od żadnego tła, nie wykrywaną nawet przez kolorowe filtry, jak i nie zdradzającą się wyraźnie na zdjęciach lotniczych[1]).

Studja porównawcze nad rodzajami utkanych w wyżej podany sposób materjałów, przy kontroli wzrokowej i stereoskopowej, doprowadziłyby wreszcie do wyboru tkaniny istotnie uniewidaczniającej w każdym terenie wobec obserwatora oraz nie dającej zupełnie zdecydowanych plam na fotografji lotniczej.

Taki wybór tkaniny na umundurowanie ochronne odpowiadałby warunkom stawianym materjałom istotnie maskującym.

Jak już wspominałem, w walce współczesnej siłę żywą demaskuje przedewszystkiem:

1) odcinająca się od otoczenia barwa umundurowania,

2) cień własny, leżący na postaci lub grupach po stronie nieoświetlonej,

3) cień rzucony na teren,

4) ruch.

O ile udoskonalenie barwy ochronnej i wyeliminowanie cienia własnego jest, jak wyżej widzieliśmy, naogół możliwe, to cienia rzuconego nie da się zwalczyć. Jedynie przypadnięcie do ziemi i zupełne wstrzymanie się od ruchu lub maszerowanie w cieniu innych przedmiotów, np. budowli, drzew, sztucznych masek wiszących i t.p., usuwa tą niedogodność.

Ruch zaś, który również zdradza maszerujące w terenach odkrytych oddziały, można ująć w surową karność marszową: marsze nocne, marsze w niepogodę i t. p., których, jako momentów taktycznych, nie omawiam, gdyż stanowią oddzielne zagadnienie.

Będzie się jednak zdarzało bardzo często, że z tych taktycznych czynników maskowania nie będzie można skorzystać.

Nasuwa się więc, ze względu na konieczność ukrycia ruchu, odbywającego się zwykle po drogach, zagadnienie zamaskowania dróg; rozwiązywane w wojnie pozycyjnej przez rozpostarcie nad drogami i obok dróg masek wiszących, poziomych i pionowych, z mat, gałęzi i t. p.

---

[1]) Moureu „Chemja i wojna", str. 97 — 99 oraz Przegląd Wojskowy, zeszyt 9—10, artykuł „Ubiór, obciążenie i oporządzenie piechura" (str. 208).

Stosowanie tego sposobu maskowania dróg jest w wojnie ruchowej niemożliwe, ze względu na konieczność szybkiego posuwania się oddziałów oraz brak czasu, sił i środków, potrzebnych do wykonania. Nasuwa się potrzeba przygotowania już w czasie pokojowym maskowania dróg w pasach nadgranicznych w postaci gęstego obsadzenia ich drzewami wysokopiennemi a szerokolistnemi, dającemi dużo cienia. Nadawałyby się do tego celu specjalnie drzewa liściaste, szybko rosnące, o liściach szerokich, np. kasztan, klon lub morwa, przy zupełnem wykluczeniu takich drzew przydrożnych, często spotykanych u nas, jak wierzba, brzoza, topola i t. p., które dają mało cienia i potrzebom maskowania zupełnie nie odpowiadają.

Zadrzewienie obustronne dróg, w odległości 4 do 5 m, starannie pielęgnowane i uzupełniane w razie potrzeby, dałoby po kilku już latach maskę, wysoko zawieszoną nad powierzchnią jezdni, dostatecznie zwartą i rozpostartą nawet na boki drogi (nad rowami przydrożnemi), doskonale przez to maskującą wszelki ruch na drogach, nawet za dnia, oraz umożliwiającą, dzięki rzucanemu cieniowi, marsze oddziałów w zupełnem ukryciu przed obserwacją lotniczą.

Nie działałaby wprawdzie taka maska w zimie z powodu braku liści na drzewach, jednak długotrwałe noce w okresie zimowym, umożliwiające dłuższe marsze nocne, nie zmuszają tak bardzo do maskowania dróg w tej porze roku.

Zagadnienie powyższe, równie ważne jak zagadnienie ulepszenia barwy munduru polowego, bo dające wojskom możność ukrytego posuwania się po drogach nawet w razie opanowania przez przeciwnika powietrza, musi być w czasie pokoju należycie wystudjowane i zrozumiane, tak przez czynniki kompetentne w tej sprawie, jak i przez samych wykonawców, przeprowadzających względnie utrzymujących w należytym stanie tak pojęte zamaskowanie ruchu.

Odpowiednie zarządzenia względnie prace, podjęte na obszarze całego państwa lub tylko na jego częściach, wydają mi się możliwe do zrealizowania.

Istnieje jeszcze zagadnienie zamaskowania sprzętu na polu walki; zagadnienie o tyle ważne, że przedewszystkiem sprzęt będzie w wojnie celem dla ognia nieprzyjacielskiego, usiłującego zniszczyć go lub obezwładnić.

Dotychczasowe metody, jak malowanie sprzętu na kolor ochronny lub malowanie w różnokolorowe plamy celem rozbicia

płaszczyzny na szereg plam mniej widocznych w terenie, nie rozwiązują w dostatecznej mierze tego zagadnienia.

Rozwiązanie jest raczej możliwe po linji uniknięcia cienia własnego i rzucanego przez sprzęt, co jest raczej zagadnieniem natury konstrukcyjnej, dotąd nie uwzględnionem; przy konstrukcji sprzętu dotychczasowego, uwzględniono tylko obserwację naziemną, przeważnie czołową, przed którą doskonale ukrywał pancerz ochronny, umieszczony od strony frontu, oraz ewentualne wkopanie sprzętu.

Zagadnienie powyższe, uwzględniające konieczność zamaskowania sprzętu przedewszystkiem przed obserwacją lotniczą, jest możliwe do rozwiązania bądź przez specjalną konstrukcję sprzętu, co jest oczywiście jeszcze muzyką przyszłości, bądź przez specjalne przystosowanie posiadanego sprzętu w postaci jakiegoś organicznego przy sprzęcie płaskiego *„pancerza maskującego"*, dającego rozszerzać się na boki, wprzód i wtył, dostatecznie lekkiego, a przez to nie obciążającego zbytnio danego sprzętu.

Stanowiska, zajmowane przez taki sprzęt, byłyby już w chwili zajmowania odrazu ukryte, maska zaś, dość szeroko rozpostarta na jego boki, umożliwiałaby okopanie samego sprzętu, nawet w czasie samej walki, bez zdemaskowania zajętego stanowiska.

Nie mogą to być maski horyzontalne, budowane nad stanowiskami bateryj, ani innego rodzaju rozwiązania wymagające dużo czasu, pracy i materjałów, lecz organiczne części danego działa, karabina maszynowego czy moździerza, umożliwiające szybkie rozpostarcie maski i zamaskowanie, z chwilą zajęcia stanowiska, tak sprzętu i obsługi, jak i wykonywanych przez nią prac.

Konieczność studjów i doświadczeń.

Z powyższych pobieżnych rozważań wynika, że:

1) sposobów maskowania wojny pozycyjnej nie można przenosić żywcem do walk ruchowych,

2) sposoby wyniesione z wojny światowej są dla przewidywanych przyszłych działań niewystarczające,

3) istnieje konieczność badań i doświadczeń w tym kierunku.

Badania te są prowadzone przez odpowiednie organa oficjalne. Badaniom tym powinny sekundować próby i studja jednostek, tem bardziej, że temat jest pociągający.

Badania i doświadczenia prowadzone przez organ oficjalny mają oczywiście większą wartość, gdyż są stałe i systematyczne.

W organie oficjalnym reprezentowane są ponadto zainteresowane bronie i służby.

Maskowanie nie może być bowiem dziedziną specjalną saperów, ani piechoty. Piechota, artylerja, lotnictwo i saperzy, o ile chodzi o dane czysto techniczne, mają równie wiele do powiedzenia.

Pisałem swoje rozważania i wnioski, by zainteresować ogół zagadnieniem maskowania i przyczynić się w miarę możności do jego oświetlenia. Jeśli przyniosą one jakąkolwiek korzyść badaniom oficjalnym, cel mego studjum będzie podwójnie osiągnięty.

NA CZASIE.

ZAGADNIENIE SZKOLENIA PODOFICERÓW.

Pod powyższym tytułem zamieścił ppłk. S. G. Müller Stanisław w lutowym zeszycie „Bellony", w rubryce „Na czasie" artykuł, w którym, powołując się na znowelizowanie ustawy o podstawowych prawach i obowiązkach szeregowych, nawołuje do przeprowadzenia dyskusji na temat szkolenia podoficerów.

Czytając artykuł ppłk. Müllera, odniosłem wrażenie, że już przy wstępnem ujęciu zagadnienia Autor popełnił pewien błąd zasadniczy, który zemścił się w konsekwencji na całej konstrukcji rozumowania. Parafrazując bowiem postawienie sprawy przez autora, moglibyśmy powiedzieć: ustawa została znowelizowana, zastanówmy się teraz, w jaki sposób można najracjonalniej wtłoczyć szkolenie podoficerów w jej ramy. Zdaniem mojem, jest to z gruntu fałszywe postawienie sprawy. Szkolenia podoficerów nie można wtłaczać w ramy ustawy, a dyskusja prowadzona na tak zwężonej płaszczyźnie mija się z celem. Gdyby bowiem nawet istniała rzeczywista konieczność ustawowego regulowania tego zagadnienia, to i wówczas należałoby przedtem przedyskutować jego istotę, a później dyskutować nad ustawą, a nie odwrotnie. W rzeczywistości nie widzę powodu komplikowania tej sprawy. Jedynym miarodajnym czynnikiem, regulującym szkolenie podoficerów, może i powinien być minister spraw wojskowych, który musi mieć zapewnioną możność dostosowywania rozwiązań tego zagadnienia do rzeczywistych potrzeb życia, bez konieczności każdorazowego odwoływania się do zezwolenia czynników ustawodawczych, których wpływ w tej dziedzinie powinien być ograniczony do spraw budżetowych oraz prawnych.

To też, jakkolwiek brzmienie znowelizowanej ustawy stanowi znaczny postęp w stosunku do poprzedniej, gdyż stwarza ramy znacznie mniej krępujące, uważam, że powinna ona ulec dalszej nowelizacji, usuwającej z niej wszelkie ustępy, które zupełnie niepotrzebnie mogłyby utrudnić sprawę przygotowania kadr podoficerskich.

Wychodząc z tych założeń, podejmuję dyskusję, zapoczątkowaną przez ppłk. S. G. Müllera, zaznaczając zgóry, że prowadzić ją będę nie w płaszczyźnie znowelizowanej ustawy, lecz w płaszczyźnie najszerzej pojętych rzeczywistych potrzeb wojska.

Ze względu na to, że całość omawianej sprawy rozpada się na dwa odrębne zagadnienia, jakiemi są: szkolenie podoficerów niezawodowych i doszkalanie podoficerów zawodowych, każde z nich omówię osobno. Celem uproszczenia dyskusji, wstępuję w ślady ppłk. S. G. Müllera i tam, gdzie trzeba schodzić do szczegółów, ograniczam się do poruszania ich w stosunku do piechoty, gdyż w innych broniach sprawa przedstawia się analogicznie, a nawet nieco prościej.

Szkolenie podoficerów niezawodowych.

Jaki cel ma szkolenie podoficerów niezawodowych? Odpowiedź na to pytanie daje ppłk. Müller, twierdząc zupełnie słusznie, iż „szkolenie na kaprala odbywa się przedewszystkiem pod kątem widzenia mobilizacyjnej produkcji podoficerów rezerwy. Dlatego też programy pułkowych szkół podoficerskich powinny przedewszystkiem odpowiadać potrzebom przygotowania dowódców sekcyj i drużyn na wypadek wojny."

Podzielając całkowicie takie ujęcie sprawy, nie mogę powstrzymać się od uwagi, że Autor artykułu, wychodząc z tak słusznego założenia, dochodzi do wniosków, zaprzeczających temu założeniu.

Zastanówmy się, jakie potrzeby z punktu widzenia produkcji mobilizacyjnej ma np. pułk piechoty. Nie ulega wątpliwości, iż musi on sobie wyszkolić przyszłych dowódców sekcyj i drużyn strzeleckich, karabinów maszynowych, broni towarzyszącej, artylerji piechoty, konnych zwiadowców, łączności, pionierów i sanitarjuszy, gdyż tego rodzaju specjalistów nikt mu poza wojskiem nie wyszkoli. Pozatem godzę się na konieczność wyprodukowania przez pułk pokrycia zapotrzebowania mobilizacyjnego na podoficerów żywnościowych, broni, gazowych i taborowych. Na tem kończą się żywotne potrzeby pułku.

Zapytuję bowiem, jaki wzgląd mobilizacyjny nakazuje pułkowi piechoty zajmować się szkoleniem przyszłych podoficerów rezerwy na takich specjalistów, jak pisarze, kreślarze, rachunkowcy, kanceliści lub też szewcy czy krawcy?

Czyżby istotnie zachodziła obawa, że specjalistów takich na wypadek mobilizacji w pułku zabraknie? Obawy takiej niema. Istnieje natomiast nie obawa, lecz trudność organizacyjno - ustawowa, pochodząca stąd, że organizacja nasza, słusznie zresztą, przewiduje, iż cały szereg takich specjalistów powinien nosić dystynkcje podoficerskie—ustawa zaś uzależnia prawo nadania tych dystynkcyj od ukończenia szkoły podoficerskiej. Nie sądzę, by powód ten był dostatecznie ważny, aby obarczać pułki kłopotem badania świadectw cechowych, egzaminowaniem szewców i t.p. Uważam, że usunięciem tego kłopotu powinna zająć się ustawa i organizacja.

Do sprawy tej powrócę później. Narazie pragnę omówić to, co jest istotą zagadnienia, t. j. szkolenie podoficerów linjowych. W tej sprawie istnieją dwa krańcowo odmienne poglądy. Jeden z nich wychodzi z założenia, iż decydującym momentem przy rozstrzyganiu jej jest moment wychowawczy, nakazujący pozostawienie wyszkolenia podoficerów pułkom, choćby to miało nastąpić ze szkodą wyszkolenia; drugi, krańcowo przeciwny, bierze pod uwagę wyłącznie techniczne potrzeby wyszkoleniowe, które przemawiają na korzyść kursów. Sądzę, że prawda, jak zwykle, leży pośrodku. Dlatego też uważam, że jest rzeczą konieczną, aby utrzymując zasadę szkolenia podoficerów w pułkach bronić jej tylko tak długo, dopóki wyszkolenie na tem nie zaczyna tracić. Nie ulega bowiem wątpliwości, że braków w wyszkoleniu strzeleckiem obsługi c. k. m. nie zastąpi najpotężniejszy wpływ wychowawczy dowódcy pułku. Z tych też względów nie uważam za właściwe ograniczanie ewentualnego szkolenia podoficerów poza pułkami jedynie do podoficerów sanitarnych i łączności, jak tego chce ppłk. Müller, lecz rozszerzam je, w miarę potrzeb wyszkoleniowych, również na podoficerów artylerji piechoty, pionierów, karabinów maszynowych i broni towarzyszącej. Powtarzam raz jeszcze: w miarę potrzeby, gdyż liczę się zarówno z koniecznością indywidualnego rozwiązywania tej sprawy w poszczególnych dywizjach, jak i z możliwością podziału czasu trwania

szkoły na dwa podokresy, z których pierwszy, unitarny, obejmowałby czas szkolenia wszystkich elewów w pułkowej szkole podoficerskiej, drugi, specjalizujący, obejmowałby czas wyszkolenia na kursach, które, zależnie od warunków ćwiczebnych danego oddziału, organizowane byłyby bądź w pułkach, bądź przy dywizjach lub korpusach.

Podział czasu trwania pułkowej szkoły podoficerskiej na podokresy stanie się możliwy z chwilą, gdy czas trwania tej szkoły zostanie przedłużony. Sprawa przedłużenia czasu trwania pułkowej szkoły podoficerskiej wiąże się ściśle z całością zagadnienia, poruszonego przez ppłk. Müllera. Ppłk. Müller zupełnie słusznie domaga się nastawienia ich w kierunku szkolenia na dowódców sekcyj i drużyn, z wykluczeniem szkolenia instruktorów. Podzielając opinję ppłk. Müllera w tej sprawie, pozwalam sobie na wyciągnięcie stąd wniosków, przeoczonych przez ppłk. Müllera. Zrealizowanie tego projektu w całej rozciągłości staje się możliwe dopiero z chwilą, gdy pułki będą mogły zrezygnować z pomocy instruktorów niezawodowych. Nie posiadam dostatecznych danych do oceny, jak sprawa ta przedstawia się w obecnej chwili we wszystkich pułkach piechoty. Wiem, że w ciągu ostatnich lat dwóch liczba zawodowych instruktorów w szeregu pułków wzrosła tak znacznie, że myśl o zrezygnowaniu z pomocy instruktorskiej podoficerów niezawodowych przestaje już być marzeniem ściętej głowy. Z tą chwilą najważniejsza przeszkoda, uniemożliwiająca dotąd przedłużenie czasu trwania pułkowych szkół podoficerskich, przestaje istnieć, a samo zagadnienie staje się tematem zasługującym na rzeczowe rozpatrzenie.

Konieczność przedłużenia czasu trwania pułkowych szkół podoficerskich nie wymaga uzasadnienia. Chodzi tylko o ustalenie, jak długo powinna trwać taka szkoła i czy istnieje możliwość praktyczna prowadzenia dwóch klas szkoły podoficerskiej. Jeżeli ustalimy, że szkoła powinna trwać pełnych 8 miesięcy, a wcielanie do szkoły będzie odbywało się po dwumiesięcznem przeszkoleniu rekruckiem, otrzymamy obraz mniej więcej następujący: dla jesiennego wcielenia szkoły będą uruchamiane w listopadzie a zamykane w lipcu, dla wiosennego — uruchamiane w maju, a zamykane w styczniu. Faktycznie więc owe 2 klasy byłyby jednocześnie prowadzone tylko w ciągu 4 miesięcy roku (część listopada, grudzień i część stycznia oraz część maja, czerwiec i część lipca). Jeżeli uwzględnimy, że będą to okresy, w czasie których starsza klasa szkoły podoficerskiej będzie miała już zakończony okres szkolenia unitarnego, a część jej elewów odejdzie na kursy specjalizujące, dalej, że część instruktorów, nie pełniących funkcyj dowódców, będzie mogła być dla obu klas wspólna, a wreszcie, że najlepsi z elewów klasy starszej będą mogli objąć funkcje dowódców w stosunku do swych słabszych kolegów, to dojdziemy do wniosku, że powstałe trudności będą tego rodzaju, iż przy większym wysiłku organizacyjnym dadzą usunąć się bez konieczności dublowania całego personelu instruktorskiego szkoły. Rzeczą władz centralnych będzie przyjście oddziałom z pomocą i ograniczenie w tym okresie kursów dla kadry zawodowej.

Co się tyczy kursów specjalizujących, to odnośnie podoficerów c. k. m. i broni tow. powstaje potrzeba organizowania ich systemem dywizyjnym tylko dla tych pułków, które nie posiadają garnizonowych strzelnic bojowych i szkolnych. Kursy takie powstawałyby przy szkołach podoficerskich tych pułków, które posiadają najlepsze warunki ćwiczebne. Co się tyczy podoficerów plutonów pionierów i artylerji piechoty, to kursy te mogłyby być organizowane bądź jako kursy dywizyjne, bądź jako kursy korpusowe, podobnie jak kursy sanitarne i łączności.

Inni specjaliści, jak podoficerowie żywnościowi, broni, gazowi i taborowi, otrzymają zupełnie dostateczne wyszkolenie przez odbycie praktyki na zajmowanych stanowiskach.

Co się tyczy rzemieślników, to szewc, krawiec lub ślusarz, kończący szkołę podoficerską, przestaje być rzemieślnikiem, a staje się podoficerem linjowym. Szkolenie go na podoficera-szewca nie jest rzeczą pułku. Kierownik warsztatu szewckiego musi być dobrym szewcem, posiadać odpowiednią energję i inteligencję, nie musi natomiast kończyć szkoły podoficerskiej.

Nieco inaczej przedstawia się sprawa rusznikarzy.

Tych posiadamy mało. Musimy ich doszkolić. Nie uważam jednak, aby szkoła podoficerska była najwłaściwszą po temu drogą.

Co się tyczy sprawy wszelkich kancelistów, to musimy raz wreszcie sprawie tej spojrzeć prosto w oczy. Największą plagą, dewastującą korpus podoficerski, jest odpływ najlepszych elementów podoficerskich z pododdziałów linjowych do kancelarji. Walka z objawem tym jest trudna, gdyż żywotne interesy życia pokojowego zmuszają dowódców wszystkich szczebli do starannego doboru personelu kancelaryjnego. Nie wynika stąd jednak, by sankcjonować oficjalnie taki stan rzeczy. Przeciwnie, do kancelaryj należy kierować przedewszystkiem taki element, który posiada dostateczne wykształcenie cywilne, choćby nie było ono uzupełnione wyszkoleniem wojskowem. W przeciwnym razie, nauczyciel ludowy, który odsłużył w zapasie kilka miesięcy, będzie na wypadek wojny przydzielony do obsługi konia, a kapral—półanalfabeta, doskonały podoficer c. k. m., będzie się głowił nad sylabizowaniem poczty.

Sprawą orkiestrantów zajmować się nie będę, gdyż z wyszkoleniem wojska ma ona stosunkowo niewiele wspólnego. Skoro jednak o tem mowa, nie mogę wstrzymać się od jednej ważnej uwagi: orkiestry nasze powinny przywiązywać dużą uwagę do nauki sygnałów wojskowych.

Doszkalanie podoficerów zawodowych.

Omawiając potrzeby szkolenia podoficerów niezawodowych ustaliliśmy, iż celem jego jest szkolenie dowódców sekcyj i drużyn na wypadek wojny, a w konsekwencji wykluczyliśmy szkolenie podoficerów niezawodowych na instruktorów. Zastanówmy się teraz, jaki cel ma szkolenie podoficerów zawodowych. Ma ono dwa cele: przedewszystkiem przygotowanie ich do zadań instruktorskich, do których będą oni używani w czasie pokojowym od pierwszego dnia swej służby zawodowej, następnie do sprawowania funkcyj dowódców na wypadek wojny. Należy przy tem pamiętać, że na wypadek wojny w pierwszych latach służby zawodowej podoficer taki wchodzi w rachubę przy obsadzie stanowisk dowódców drużyn, a dopiero w ostatnich latach służby będzie przewidywany na dowódcę plutonu.

Do dowodzenia drużyną powinna go była przygotować pułkowa szkoła podoficerska. Na przygotowanie się do dowodzenia plutonem ma on narazie jeszcze kilka lat czasu. Nie jest natomiast przygotowany do funkcyj instruktorskich. Przygotowanie to musi zatem otrzymać i to możliwie najprędzej. Ppłk. Müller chce, z jednej strony, nastawić pułkowe szkoły podoficerskie na szkolenie dowódców, z drugiej zaś strony—przesunąć przeszkalanie podoficerów zawodowych do chwili, w której zaczną oni wchodzić w grę jako kandydaci na sierżantów. Poglądu tego podzielić nie mogę. Rezultatem systemu, propagowanego przez ppłk. Müllera, będzie to, że pułki będą posiadały około 70% instruktorów zawodowych nieprzygotowanych

do funkcyj instruktorskich. Sytuację tę ppłk. Müller usiłuje załagodzić kursami specjalizującemi w Centralnej Szkole Strzelniczej, Centralnej Szkole Gimnastyki i Sportów, Szkole Gazowej oraz innemi kursami specjalizującemi w takich dziedzinach, jak musztra, szermierka, grenadjerka, terenoznawstwo, służba wewnętrzna, a nawet wychowawstwo, przymusowe nauczanie i wygłaszanie odczytów z wiedzy ogólnej. Poglądu tego również podzielić nie mogę. Podoficer nie posiadający kwalifikacyj wychowawcy nie powinien wogóle wchodzić w grę jako instruktor. Specjalizacja w takich przedmiotach, jak musztra, grenadjerka, szermierka, służba wewnętrzna, terenoznawstwo (w zakresie wymaganym od szeregowego) jest niepotrzebna. Kwalifikacje na instruktora tych przedmiotów musi posiadać każdy podoficer zawodowy. Aby je mógł posiadać, należy go w tym kierunku wyszkolić. I oto cel wyszkolenia podoficera zawodowego jest zarysowany; musi ono iść w tym kierunku, aby z surowego materjału kandydata na rezerwowego dowódcę drużyny urobić *wzorowego instruktora i wychowawcę* tej drużyny. Specjalizowanie jest dopuszczalne jedynie na instruktorów poszczególnych pododdziałów, a nie poszczególnych przedmiotów. Sprawa przymusowego nauczania nie może wogole być rozpatrywana w tej płaszczyźnie. Nie jest to przedmiot specjalności wojskowej. Uczyć czytać może równie dobrze oficer, rekrut, cywilny nauczyciel, jak niekiedy podoficer. Warunkiem tego jest, aby posiadał odpowiednie przygotowanie cywilne. Żadne wojskowe kursy instruktorskie nie mogą go tego nauczyć. To samo dotyczy wygłaszania odczytów czy pogadanek z wiedzy ogólnej. W ten sposób specjalizacja instruktorów ograniczy się do kursów gazowych i gimnastyczno-sportowych, gdyż nawet w stosunku do C. S. S. uważam, że należy zrezygnować z wysyłania tam podoficerów innych pododdziałów na korzyść przeszkolenia w tej szkole wszystkich podoficerów zawodowych c. k. m., a tem samem nadać jej charakter kursów dla podoficerów kompanij c. k. m. i broni towarzyszącej.

Na kursy te należy wysyłać podoficerów jak najwcześniej, to jest już w pierwszym roku służby zawodowej, a jeśli możliwe—to nawet w okresie służby nadterminowej, uzależniając przyjęcie na zawodowego od ukończenia kursu. System ten jest droższy od systemu proponowanego przez ppłk. Müllera, gdyż ilość zgłaszających się do służby zawodowej jest większa, i to kilkakrotnie, od ilości oczekujących awansu na sierżanta. Oszczędność proponowana przez ppłk. Müllera jest jednak oszczędnością pozorną. Przeszkalanie podoficerów zawodowych w pierwszym roku ich służby daje gwarancję posiadania podoficerów pełnowartościowych, podczas gdy projekt ppłk. Müllera, dzielący ich na dwie kategorje: młodszych—półwartościowych i starszych—pełnowartościowych, prowadzi do tego,że ci pełnowartościowi podoficerowie nie będą mogli już wrócić wojsku kapitału włożonego w ich wyszkolenie, gdyż po kilku latach zakończą swą służbę podoficerską, która wszak trwać ma tylko lat 12.

Krótkotrwałość służby podoficerskiej nakazuje zastanowić się nad innym problemem—przywróceniem stopnia chorążego. Chorążym zostawałby podoficer zawodowy w nagrodę wzorowej 12-to letniej służby zawodowej. Jako chorąży służyłby dalszych lat 13, bez konieczności odnawiania kontraktu co trzy lata. Po ukończeniu 25 lat służby, otrzymywałby emeryturę. Przywrócenie stopnia chorążego wiąże się z koniecznością wyraźnego określenia tego stopnia jako najwyższego stopnia podoficerskiego, otrzymywanego wyjątkowo za wzorową służbę linjową (wykluczenie służby administracyjnej) i chlubne ukończenie kursu dowódców plutonów. Kurs taki, organizowany dla starszych sierżantów, ubiegających się o stopień chorążego, w 10-ym lub 12-ym roku służby podoficerskiej, stanowiłby zakończenie trzystopniowego szkolenia podoficerów.

Przywrócenie stopnia chorążego i możność wysłużenia w wojsku emerytury stałyby się bodźcem do pracy zawodowej dla wielu podoficerów, którzy w obecnych warunkach, wobec niepewności dalszych losów, gotowi są rzucić swą służbę w każdej chwili, gdy tylko znajdą intratniejszą posadę. Kategorja chorążych zapewni nam doskonałych dowódców plutonów, którzy, zarówno podczas pokoju jak i na wojnie, mogą oddać duże usługi. Na wypadek utracenia zdolności do służby linjowej, znajdzie się dla nich zawsze cały szereg stanowisk administracyjnych: magazynierów, komendantów strzelnic i t. p., na których mogliby dosługiwać się emerytury.

Mjr. S. G. Mieczysław Starzyński.

PRZEGLĄD BRONI I SŁUŻB ORAZ OGÓLNYCH ZAGADNIEŃ WOJSKOWYCH.

ROZWÓJ I ORGANIZACJA LOTNICTWA WŁOSKIEGO.

Posunięcia Mussoliniego, który stanął od lat kilku na czele lotnictwa włoskiego, są znamienne w skutkach. Raptowne zerwanie ze staremi metodami i z utartemi szablonami, zastrzyknięcie lotnictwu dużej dawki energji życiowej — charakteryzują posunięcia ministra lotnictwa włoskiego. Możnaby je nazwać raczej rewolucyjnemi, niż ewolucyjnemi.

W czasach powojennych, czasach wiary w „światowe rozbrojenie", logika i demagogja są stale w kolizji. Zazwyczaj demagogja zwalcza logikę. Dało się to odczuć szczególnie w lotnictwie i to nieomal we wszystkich państwach. Hasło „ogólnej demobilizacji" dotknęło przedewszystkiem lotnictwo, jako broń kosztowną i jako broń młodą, która *nie posiadała przed wojną kadrów.* Liczono się jedynie z tem, że przed wojną istniało np. 150 pułków piechoty, podczas wojny powstało jeszcze 300—a więc po wojnie należy sprowadzić ilość ich do przedwojennej, t. j. 150. *Tę samą zasadę zastosowano do lotnictwa*, jeśli nie w 100%, to w każdym bądź razie w dużem przybliżeniu, a przecież w roku 1914 lotnictwo było jeszcze de facto nieznane!

Bezpośrednio po wojnie, Włochy doprowadziły swe lotnictwo do kompletnego bankructwa, nawet nie demobilizując go. Poprostu porzucono wszystko na lotniskach, bez dozoru, spisu i opieki. Jednostki lotnicze prawie nie istniały. Były to niedobitki, utrzymujące się dzięki energji poszczególnych dowódców. Nie można przypisywać winy wyłącznie wojskowym. Był to ogólny system powojennej dezorganizacji całego kraju.

Gdy wreszcie kraj odczuł silną rękę Mussoliniego we wszystkich przejawach życia państwowego, odczuło ją także i przedewszystkiem lotnictwo.

Mussolini nie znał się na lotnictwie fachowo. Podczas wojny był zwykłym żołnierzem — ochotnikiem. Obserwował jednak na froncie te nieocenione usługi, które lotnictwo pośrednio oddawało wojsku, mianowicie wzmocnienie ducha walczących. Jako mąż stanu, jako niezwykły psycholog — szybko zdał sobie sprawę z potrzeby, by Włochy stały się potęgą lotniczą Europy.

Wykonanie nastąpiło niezwłocznie.

Przedewszystkiem należało zacząć od góry, t. zn. od organizacji władz naczelnych. Nasunęło się pytanie: jak należy traktować lotnictwo *w przewidywaniu jego słusznego rozwoju*—czy jest to broń pomocnicza, czy główny rodzaj broni, czy wreszcie element siły zbrojnej państwa? Wszystkie trzy, że tak powiem, kategorje były do przyjęcia, jednak większość państw europejskich uznała zasadę, że lot-

nictwo jest głównym rodzajem broni. Mussolini w przewidywaniu swem poszedł dalej, akcentując, że Włosi dążą do potęgi powietrznej, a potęgę w powietrzu zapewnić może tylko element siły zbrojnej, działający samodzielnie, nawet uniezależniając się od wojska lądowego i marynarki.

Przejawiło się to w wyodrębnieniu lotnictwa z wojska i nadaniu mu charakteru odrębnego, o własnej administracji, własnym budżecie, własnym personelu. Było to posunięcie, szczególnie przed kilku laty, jak już zaznaczyłem—rewolucyjne. W Europie zdobyła się na to tylko Anglja, i to ze względów zupełnie specjalnych. Mussolini doskonale zrozumiał, że tylko zerwanie ze staremi metodami pracy, szablonami, usunięcie ludzi niekompetentnych, a jednak wpływowych—to tylko da możność rozkwitu broni powietrznej. Skutki nie dały na siebie długo czekać. Całość—kierowana umiejętnie i pieczołowicie, coprawda bez trudności finansowych — wyrasta może stosunkowo powoli, lecz kapitalnie w wielkie, potężne dzieło, które na szali równowagi europejskiej zawsze zajmie miejsce przeważające.

Jak powyżej zaznaczyłem, Mussolini lotnictwa wogóle nie zastał. Tworzyć należało zatem od podstaw. Mussolini zebrał ludzi dobrej woli i dał im plain pouvoir w zakresie tworzenia floty powietrznej. „Wierzę wam, że chcecie dobra. Wierzę wam, że wiecie, jak należy zrobić. Zerwijcie z przeszłością, ustalcie nowe zasady, najbardziej dla was wskazane. Cel jest jeden: stworzyć, i to możliwie szybko, z Włoch — potęgę powietrzną!"

Dziś, mamy możność obserwować już wyniki tej pracy. Nie wystarczy jednak obserwować. Trzeba je badać. Jesteśmy w tej dobrej sytuacji, że eksperyment odbywa się cudzym kosztem. Możemy tedy wyzyskać powyższe doświadczenia bez tego wysiłku i tych prób, jakich musiało dokonać lotnictwo włoskie. Przedstawienie ogólnego stanu tego lotnictwa jest celem mojej pracy.

Organizacja władz naczelnych.

Wspomniałem już, że Mussolini wydzielił całe lotnictwo (lądowe i morskie) z wojska i marynarki, stwarzając nowy element siły zbrojnej, na wzór wojska i marynarki—wojsko powietrzne.

Ministerjum Lotnictwa, na czele którego stanął sam Mussolini, obejmuje całokształt zagadnień związanych bezpośrednio lub pośrednio z lotnictwem i to nietylko wojskowem, lecz i cywilnem, oraz ze sprawami przemysłu lotniczego. Przy ministerjum znajduje się Sztab Generalny Lotnictwa.

Włoska organizacja władz naczelnych lotnictwa jest przemyślana i rozbudowana bardzo szeroko w przewidywaniu *rozwoju*, i to b. szybkiego, w każdym bądź razie nie dla tej ilości eskadr, któremi dysponowały Włochy w r. 1927 (około 100). Schemat organizacji Ministerjum Lotnictwa przedstawia załącznik Nr. 1.

Z pobieżnego nawet przeglądu tego schematu wywnioskować można, jak szeroko a zarazem *całkowicie* nakreślona jest organizacja. Nie poprzestano tylko na organizacji pracy w sprawach fachowych, t. j. czysto lotniczych. Uzupełniono ją temi dodatkowemi (rzekomo) organami pracy, które z lotnictwem mają b. dużo wspólnego. Dotyczy to strony prawnej lotnictwa—nieznanej dotąd w ustawodawstwie ogólno-państwowem, służby zdrowia, wreszcie nawet odrębnej intendentury.

Nie będę omawiał szczegółowo zakresu kompetencyj poszczególnych organów ministerjum, albowiem schemat dość jasno je przedstawia. Przejdę do następnej komórki władz naczelnych — do Sztabu Generalnego Lotnictwa.

Jego schemat organizacyjny przedstawia załącznik Nr. 2.

Na pierwszy rzut oka, wydawać się może (szczególnie w porównaniu z organizacją ministerjum), że ramy organizacyjne Sztabu Generalnego Lotnictwa są bardzo szczupłe. Jest to złudzenie

Idea tworzenia sztabu generalnego lotnictwa—jest zupełnie nowa, dotąd niezbadana. Najczęściej przeciwnicy zwalczają potrzebę odrębnego organu operacyjnego, twierdząc, że sztab generalny musi być jeden. Jedno dowództwo—jeden sztab generalny Bardzo często spotyka się tendencje, by nawet sprawy operacyjne marynarki włączyć do sztabu ogólnego. Jest w tem dużo racji. Przecież dziś dokładnie wiemy, że tylko wskutek braku porozumienia — wojsko i marynarka niemiecka nie działały w pewnych kierunkach i celach *równocześnie*. Jednak trzeba zdać sobie doskonale sprawę z tego, czem jest sztab generalny podczas pokoju i wojny. Podczas wojny—jednolite dowództwo, jedna wola, jedna osoba, wspólne cele, narzucone przez jedną wolę. Podczas pokoju — przygotowanie do wojny musi być pod wyłącznem kierownictwem fachowców. *Cele wojny* — wskaże podczas pokoju generał, przewidziany na naczelnego wodza. Zadaniem sztabów generalnych elementów siły zbrojnej poza wojskiem (lotnictwa i marynarki) będzie znaleźć i utorować drogi do wskazanego *celu*. Nikt inny nie zrobi tego tak dobrze, jak człowiek, który się na tem zna. Jak długo sprawami (operacyjnemi) lotnictwa będą się zajmowali ludzie skądinąd wybitni, lecz obciążeni szeregiem zagadnień z innych dziedzin, niemniej ważnych, *a łatwiejszych do opanowania i bliżej im znanych*—tak długo przygotowanie lotnictwa do celów wojny będzie szwankowało i nie otrzyma należytego kierunku.

Organizacja władz terytorjalnych.

Całe terytorjum Włoch podzielone jest na „strefy lotnicze" (3), odpowiadające naszym okręgom korpusów. Na czele strefy lotniczej stoi generał z prawami dowódcy armji. Dowództwo strefy lotniczej jest dowództwem terytorjalnem, administracyjnem, wyszkoleniowem, mobilizacyjnem i operacyjnem. Dowódcy strefy lotniczej podlegają wszystkie jednostki lotnictwa, rozmieszczone w obrębie jego strefy. Dowódca strefy podlega bezpośrednio ministrowi lotnictwa. W sprawach garnizonowych—kompetencje dowódców są zwykłe, t. j. najstarszy stopniem obejmuje dowództwo garnizonu.

Ogromne prawa, przysługujące dowódcom stref, dają możność b. skrupulatnego przygotowania na czas wojny, szczególnie pod względem mobilizacji personalnej, która jest w zasadzie terytorjalna.

W skład dowództwa strefy wchodzi 20 oficerów, w tem 2 generałów.

Poza jednostkami linjowemi (w nieokreślonej ilości) — dowódcy strefy podlega cały szereg zakładów i instytucyj służby lotnictwa, które, jak to zobaczymy później, zostały zupełnie wydzielone z jednostek linjowych. Są to „centra stref" (P. K. U.), lotniska wojskowe, szkoły obserwatorów, szkoły myśliwskie, eskadry sztabowe i t. d.

Organizacja jednostek linjowych.

Organizacja jednostek linjowych lotnictwa zupełnie odbiega od wszelkich form i schematów organizacyjnych innych rodzajów broni. Jednostka linjowa jest podczas pokoju jednostką tylko taktyczno-wyszkoleniową. Żadnej administracji nie prowadzi (oprócz normalnej, sprzętu bieżącego w jednostkach mniejszych — eskadrach). *Pułk lotniczy nie żywi się sam, nie ma żadnych składów.*

Wzamian za to rozbudowane są pod względem administracyjnym porty lotnicze, które dostarczają żywności, materjału intendenckiego i t. d. jednostkom linjowym.

Pułk lotniczy składa się wyłącznie z oficerów „rolo combatante". W ten sposób cały ciężar administracji pokojowej, która jest bodaj czy nie jedyną troską dzisiejszego dowódcy — odpada.

Cała rola dowódcy pułku polega na szkoleniu personelu; nie prowadzi on żadnej biurowości. Codziennie przesyła stany liczebne do sąsiedniej kancelarji portu.

To zasadnicze posunięcie organizacyjne pozwoliło nietylko zmniejszyć pracę dowódców jednostek linjowych, lecz i nastawić ją na pewien kierunek. Ponadto uszczupliło ono znacznie etaty pułku. Sztab pułku obejmuje 3 oficerów, 4 podoficerów i 7 szeregowców.

Nie posiadam bliższych danych o przygotowaniach mobilizacyjnych, lecz, sądząc z całokształtu organizacji, przypuszczam, że całą materjałową mobilizację intendencką przygotowuje port, natomiast sprzęt lotniczy znajduje się już przy swych eskadrach.

W skład pułku wchodzą dwa lub więcej dywizjony lotnicze. W skład sztabu dywizjonu wchodzi 3 oficerów, 2 podoficerów i 12 szeregowców.

Dywizjon składa się z 2-ch eskadr. Obsada eskadry przedstawia się, jak następuje:

Stopnie	Eskadra myśliwska	Linjowa (obserw.)	Niszczycielska nocna	Niszczycielska dzienna
Kapitanów—pilot.	1	1	1	1
Por.—ppor.—pilot.	2	2	5	2
Podofic.—pilot.	6	6	6	6
Razem pilotów	9	9	12	9
Oficer. obserw. korpusu lotniczego	—	—	2	3
Ofic. obserw. broni głównych	—	3	—	—
Razem obserw.	—	3	2	3

Podof.	Szereg.	Eskadra myśliwska (podof.)	Eskadra myśliwska (szereg.)	Linjowa (podof.)	Linjowa (szereg.)	Nocna (podof.)	Nocna (szereg.)	Dzienna (podof.)	Dzienna (szereg.)
Mechanicy	Pom. mech.	2	7	2	7	2	9	2	7
Monterzy	Pom. mont.	1	4	1	4	2	4	1	4
Rusznik.	Rusznik.	1	2	1	1	1	3	1	2
Radjo-elektrot.	Pomocnicy	—	—	1	2	1	2	1	1
Fotograf.	Pomocnicy	—	—	1	1	—	1	—	1
Szoferzy	Szoferzy	—	6	—	7	—	6	—	6
Linjowi	Linjowi	2	25	2	26	2	37	2	26
Razem:		6	44	8	48	8	62	7	47

W przeciwieństwie do jednostek linjowych—dowództwa portów lotniczych są etatowo b. rozbudowane. Na nie wyłącznie spadają ciężary zaopatrywania, utrzymywania czystości i służby garnizonowej. Obsada portu lotniczego I klasy (m. p. pułku) składa się z 13 oficerów, 21 podoficerów i 174 szeregowców.

Personel, rekrutacja, przywileje.

Wartość lotnictwa w przeważającym stopniu zależy od personelu, tak latającego, jak i technicznego (pomocniczego). Dobór personelu jest niezwykle trudny, albowiem nie wystarczają jedynie warunki fizyczne, które dla innych broni są nieomal wyrocznią. Kandydat do lotnictwa musi posiadać również walory psychiczne. Temperament, zapał, zamiłowanie do lotnictwa, zainteresowanie sportami wogóle, stanowią bodaj najistotniejsze wartości kandydata na lotnika (pilota). Ileż to znamy wypadków, że lotnicy o fatalnym wyglądzie zewnętrznym, połamani, częstokroć bez oka, nawet bez nogi—podczas wojny stanowili element pierwszorzędny, natomiast ludzie tryskający zdrowiem—zawodzili. Stanowczość, siła woli, zaciętość—to, co Francuzi nazywają „mordant", szybka orjentacja w połączeniu z warunkami zdrowotnemi i żywym temperamentem—stanowią o typie nadającym się na lotnika.

Do lotnictwa nie można „zaciągać"—trzeba „werbować" ochotników. Trzeba, by ochotników zgłaszała się ogromna liczba, ażeby było w czem wybierać. Ażeby osiągnąć dużą ilość kandydatów, potrzeba: szerokiej propagandy idei lotnictwa oraz stworzenia moralnych i materjalnych warunków, zachęcających do służby w lotnictwie

Rekrutacja personelu do lotnictwa jest wyłącznie ochotnicza; dotyczy to zarówno zwykłych „śmiertelników", odbywających służbę przymusową, jak i szeregowych z cenzusem oficerskim. Szereg specjalnych przywilejów, nieznanych w innych broniach, potęguje, poza własnem zamiłowaniem, chęć pełnienia służby w lotnictwie. Przywileje te dotyczą zarówno personelu kadrowego, jak i przejściowego oraz rezerwy. Przy ustanawianiu przywilejów, wychodzono z następujących założeń;

— personel lotnictwa już w czasie pokojowym narażony jest na stałe ryzyko życia—niewspółmierne z innemi broniami,

— sprzęt lotniczy jest b. kosztowny, wymaga więc szczególnych uzdolnień i kwalifikacyj personelu, któremu go się powierza,

— służba w lotnictwie pociąga za sobą komplikacje zdrowotne; dlatego też należy płacić możliwie dużo, ażeby ściągnąć jak największą ilość kandydatów i mieć możność wybrania najodpowiedniejszych.

Dodatek lotniczy. Ryzyko w lotnictwie jest dla wszystkich latających jednakowe, przeto dodatek lotniczy jest jednaki, tak dla generała jak i dla szeregowca, i wynosi miesięcznie 800 lirów t. j. ok. 400 złotych. Ciekawe jest, że za *dni aresztu* dodatek lotniczy nie wypłaca się, nawet jeśli areszt jest z pełnieniem obowiązków służbowych. Jest to jeden z „łagodniejszych" a skutecznych środków utrzymania karności wśród personelu latającego.

Premje lotnicze. Okazało się, że jakkolwiek ambicja „najlepszego" pilota najlepszego fotografa lub radjotelegrafisty—jak również pojęcie „najlepiej wyszkolonej eskadry" — odgrywa pewną rolę, to jednak nie tak dalece wielką, aby pobudzała do konkurencji. Najlepszym sposobem pobudzającym do współzawodnictwa są konkursy lotnicze z premjami pieniężnemi oraz kosztownemi nagrodami.

Fundusze na ten cel przeznacza Ministerjum Lotnictwa co rok. W roku 1927 przyznano 300.000 lirów (około 150.000 zł).

Z tego funduszu wypłacają nagrody konkursowe za:
— najlepsze lądowanie w kole,
— zbiórkę eskadry rozpoznawczej na wysokości 6.000 m,
— najlepszą fotografję pewnego objektu,
— najlepsze nadawanie przez radjo,
— najlepszą akrobację powietrzną,
— najcelniejsze bombardowanie i t. p.

Emerytura. Ilość lat, wymagana do emerytury, jest znacznie zmniejszona w stosunku do innych broni. Wynosi, jeśli mnie pamięć nie myli—22 lata. Dodatek lotniczy jest składową uposażenia emerytalnego, jednak nie w pełnej wysokości; wysokość jego waha się od 3/4 do 2/3 i uzależniona jest od ilości lat służby w lotnictwie.

Wyszkolenie.

Szkolenie pilotów odbywa się w 15 szkołach pilotów, rozrzuconych po całem terytorjum. Są to szkoły raczej cywilne, do których wojsko przesyła swoich kandydatów.

Przyszły oficer zawodowy rozpoczyna wyszkolenie w Oficerskiej Szkole Lotnictwa z programem 3 letnim, skąd wychodzi podporucznikiem — pilotem, który przeszedł również kurs obserwatorski.

Ponadto personel latający obowiązany jest przejść kursy specjalne: piloci jednostek bombardujących — szkołę bombardowania, piloci myśliwscy — szkołę myśliwską.

Obserwatorów *własnych* lotnictwo włoskie posiada b. mało, przeważnie tylko w jednostkach bombardujących. Natomiast większość obserwatorów stanowią oficerowie innych rodzajów broni, którzy po ukończeniu kursu obserwatorskiego pozostają w lotnictwie *przez lat kilka*, poczem zastępują ich inni. W ten sposób lotnictwo uzyskuje dużą rezerwę obserwatorów na wypadek mobilizacji oraz nawiązuje ściślejszą współpracę z głównemi rodzajami wojska, co wytwarza i wzajemne zrozumienie się.

Przy badaniu programów szkolenia rzuca się w oczy dążenie do uproszczenia programów.

Konsekwencją „uproszczonych"—praktycznych raczej, a nie teoretycznych — programów jest ogromne zmniejszenie etatów personelu stałego szkół lotniczych, biorąc pod uwagę również, że administracja nie należy do szkoły, lecz (jak poprzednio wspominałem) — do dowódcy portu lotniczego.

„Skład bojowy" (O. de B.) lotnictwa włoskiego, ogólne spostrzeżenia.

Rozwój lotnictwa włoskiego, zakrojony na wielką skalę, był w r. 1927 w początkowej fazie. Doprowadzenie do porządku strony organizacyjnej przemysłu lotniczego oraz lotniczych instalacyj naziemnych — wymagało kilku lat. To też właściwie dopiero w r. 1926 rozpoczęto zwiększać ilość jednostek, przyczem główne powiększenie miało się odbyć w latach 1928-1930.

Na jesieni r. 1927 lotnictwo włoskie rozporządzało w metropolji:

3 strefami terytorjalnemi lotnictwa (okręgi lotnicze); w r. 1928 przewidywano utworzenie 4-ej strefy;

11 pułkami lotniczemi w składzie 31 dywizjonów — 97 eskadr lotniczych (lądowych i morskich);

1 pułkiem sterowców — 3 sterowce;

4 szkołami specjalistów;

47 portami lotniczemi,

nie licząc pomniejszych urządzeń.

W eskadrach etatowo przewidziano płatowców:

w bombardujących dziennych — 9

„ „ nocnych — 6

„ myśliwskich — 12

„ obserwacyjnych — 9.

Stanowi to ogółem około 900 płatowców bojowych w pierwszym rzucie mobilizacyjnym.

Biorąc pod uwagę tworzenie b. dużych rezerw personelu latającego oraz silnie rozwinięty przemysł lotniczy, przypuszczam, że po pierwszym miesiącu nietylko uzupełni się straty, lecz będzie możność sformowania około 50 nowych jednostek.

Dziś z pewnością ogólna ilość jednostek linjowych przekroczyła liczbę 100. Ppłk. Reboul robi przewidywania, że „wielki program" rozbudowy osiągnie cyfrę 3.000 płatowców — co stanowiłoby plus minus 350 eskadr. [1])

Nie będziemy zastanawiali się nad ewentualnemi możliwościami utrzymania 350 eskadr—co zgrubsza wymagałoby budżetu lotniczego około 700 miljonów lirów. Chciałbym jednak rozpatrzeć stan rzeczy obecny, t. j., gdy Włosi dysponują 100 eskadrami, stanowiąc bezsprzecznie już obecnie potęgę powietrzną w Europie.

Stosunek lądowych granic państwa ewentualnych przeciwników do ilości rozporządzalnego lotnictwa stanowi istotny sprawdzian potęgi powietrznej. Gdyby dziś Polska dysponowała 100 eskadrami, jak Włosi, byłaby jednak słabsza nazewnątrz, niż są obecnie Włochy. Czułem miejscem dla Włochów są ich rozległe granice wodne, które wymagają dla obrony dużej stosunkowo floty morskiej. To też, punkt wyjściowy Włoch w dziale rozbudowy lotnictwa da się wyczuć w sposób następujący

— lotnictwo obserwacyjne bezsprzecznie zawsze będzie potrzebne, jako środek rozpoznania. Czy będzie ono trochę lepsze od dzisiejszego, czy takie jak dziś, nie stanowi to istotnego zagadnienia. Muszą go Włochy mieć i zgóry da się z wielką dokładnością obliczyć, ile go mieć muszą;

— lotnictwo myśliwskie musi zapewnić pracę lotnictwa obserwacyjnego na froncie. Co do obrony tyłów — wobec kolosalnego rozwoju lotnictwa niszczycielskiego — wydaje się wątpliwe, czy zdoła ono zawsze wypełnić swe zadanie. Jednak sprzęt lotnictwa myśliwskiego musi zawsze być jak najnowszy i najlepszy. Główne działanie jego — na froncie;

— lotnictwo bombardujące i jego akcja stanowią istotę przyszłej wojny. Na lądzie da ono możność *przeniesienia walki na terytorjum przeciwnika*, na morzu — skuteczną obronę przeciwko przeważającym siłom morskim. Ponadto stanowić ono musi skuteczną czynną broń przeciwlotniczą, niszcząc żywe i materjalne siły lotnicze przeciwnika na *jego terytorjum*. Rozwój tego rodzaju lotnictwa jest najbardziej wskazany i cenny z punktu widzenia zamiarów przyszłej wojny.

---

[1]) Artykuły ppłk. Reboula w Le Temps w r. 1927.

Lotnictwo bombardujące stanowi punkt ambicji Włoch jeszcze od czasów wielkiej wojny, kiedy Włosi nieomal najszybciej zorganizowali eskadry płatowców Caproni, siejące popłoch i zniszczenie na tyłach armji austrjackiej. Po wojnie wzięto się do udoskonalenia sprzętu, przyrządów celowniczych, amunicji a wreszcie wyszkolenia. Obecnie płatowiec bombardujący Caproni jest w stanie zabrać 1400 kg bomb. co stanowi na eskadrę dzienną $12^1/_2$ ton bomb. Wodnopłatowce bombardujące idą wślad za Caproni. Wielki wodnopłatowiec „Savoia Merchetti", na którym de Pinedo dokonał wspaniałego lotu poprzez Atlantyk i Południową Amerykę, jest typem wodnopłatowca bombardującego.

Dążenie do przeniesienia wojny powietrznej na lądzie na tyły nieprzyjaciela wynika między innemi z tego, że najbardziej uprzemysłowiony rejon Włoch (północny) ma najczulsze punkty b. blisko od granic ewent. przeciwników. Turyn Medjolan, Triest it.d., są to ośrodki przemysłowe, na utrzymaniu normalnego życia w których Włochom musi b. zależeć. Lotnictwo bombardujące przy obronie tych objektów odgrywałoby rolę podwójną: jako broń zaczepna — do niszczenia lotnictwa przeciwnika, i jako broń „odwetowa" — surowo karząca przeciwnika za dywersje na terytorjum włoskiem.

O ile chodzi o wartość jednostek lotniczych, to jednostki bombardujące utrzymane są w stanie à jour—nieomal pogotowia alarmowego. Płatowce w porządku, wyrzutniki do bomb na miejscu, oświetlenie nocne funkcjonuje it.d. Stan eskadr obserwacyjnych rzekomo przedstawia się gorzej; typy płatowców jeszcze z końca 1918 ew. 1919 roku. Tkwi w tem b. interesujące zagadnienie.

Jak już wspominałem, Włosi nie przykładają wielkiej wagi do tego, aby lotnictwo obserwacyjne miało bezwzględnie najnowszy i najlepszy sprzęt, wychodząc z założenia, że 10-20 km więcej na godzinę, a 1000 m większy pułap — nie stanowią istotnej przyczyny do dyskwalifikacji starego i przejęcia nowego typu. Zasady i sposoby rozpoznania mało się zmieniły od czasów wielkiej wojny; raczej uprościły się dzięki ulepszeniom fotograficznym, a szczególnie radjotelegraficznym i radjotelefonicznym. Biorąc pod uwagę, że postęp techniki lotniczej idzie niezwykle szybko i co rok mamy płatowiec „ostatni krzyk mody", chcąc stosować się do mody — trzebaby zmieniać sprzęt nieomal corocznie. Wymianę sprzętu przewidywali Włosi w końcu r. 1927. ew. w r. 1928, na sprzęt *już wypróbowany* w eskadrach doświadczalnych pułków. *A więc dopiero po 10 latach następuje pierwsza zmiana sprzętu.* Inaczej, jak racjonalną, planową gospodarką, nazwać tego nie można.

W pułkach myśliwskich przeważa typ płatowca starego. Jednak funkcjonują eskadry doświadczalne, wyposażone w nowy sprzęt. Po rocznem funkcjonowaniu, doświadczenia wykażą, który z proponowanych typów (jest kilka eskadr doświadczalnych) będzie najbardziej odpowiedni. Rok 1928 będzie również rokiem zmiany sprzętu lotnictwa myśliwskiego. Chciałbym podkreślić jeszcze, że obawa zaskoczenia Włoch w tym najgorszym momencie dla lotnictwa — nie jest obawą istotną. Mając szeroko rozgałęziony przemysł, *wypróbowane prototypy*, zapasy surowców i organizację fabryczną, *nastawioną na produkcję seryjną* — nie trzeba się obawiać, że zabraknie sprzętu.

Tak czy inaczej, *narodowa* idea lotnicza we Włoszech kwitnie i może służyć jako wzór.

Mjr. S. G.-pilot M. Romeyko.

PRZEGLĄD WOJSKOWYCH CZASOPISM NAUKOWYCH.

„PRZEGLĄD PIECHOTY", kwiecień 1928.

Od Redakcji.

Kpt. S. G. Kazimierz Bieńkowski — W poszukiwaniu stosownej metody wyszkolenia.

Kpt. Józef Jazienicki—Techniczne wyszkolenie strzeleckie a wyszkolenie bojowe kompanji karabinów maszynowych.

Kpt. S. G. Jerzy Kamiński — W sprawie wyszkolenia artylerji piechoty.

Mjr. S. G. Roman Starzyński — Organizacja wyszkolenia w pułku piechoty.

Ppłk. S. G. Mieczysław Czaderski — Bataljon w obronie przygotowanej.

Kpt. S. G. Kazimierz Banach—Zadanie. Pluton na zwiadach.

Mjr. Jerzy Dąbrowski — Wypad bataljonu piechoty.

Kpt. S. G. Stanisław Maleciński — Przewóz samochodowy bataljonu piechoty.

Kpt. S. G. Antoni Ślósarczyk — Piechota w prasie zagranicznej w r. 1927.

Sprawozdania.

Bibljografja.

„PRZEGLĄD KAWALERYJSKI", kwiecień 1928.

Mjr. S. G. Dunin-Żuchowski — Kawalerja a system terytorjalno-milicyjny.

Ppłk. S. G. Jerzy Grobicki — Jazda polska za Sasów i powody jej upadku w tym czasie.

Mjr. Tadeusz Popławski — Czy nasi przeciwnicy mają rację? (Kilka uwag o artylerji konnej).

Kronika kawalerji państw obcych.

Kronika sportowa.

Sprawozdania.

„PRZEGLĄD ARTYLERYJSKI“, kwiecień 1928.

Ppłk. André Lucjan z Wojsk. Misji Franc. w Polsce — Taktyka artylerji w przykładach (c. d.).

Mjr. Szt. Gen. Korewo Marjan — Służba wywiadowcza artylerji.

Ppor. Żmichowski Aleksander — Wodze i powód, jako pomoce do prowadzenia konia podręcznego.

Kpt. marynarki Reyman Ryszard — Kierowanie ogniem jednostek rzecznych.

Ppłk. inż. Jakowski Kazimierz—O sposobach wytwarzania i pomiarów najwyższych ciśnień.

Ppłk. inż. Vorbrodt Wacław — Wiadomości techniczno-artyleryjskie.

Ppłk. Stolarski Aleksander—Zagadnienie hacelowe w Polsce.

Recenzje i bibljografja.

Z Sekcji Artyleryjskiej Towarzystwa Wiedzy Wojskowej.

„PRZEGLĄD WOJSKOWO-TECHNICZNY”, kwiecień 1928.

Dział saperów.

Mjr. Hornof — Forsowanie rz. Tagliamento około Cornino w jesieni 1917 r.

Dr. St. Micewicz—Trotyl prasowany.

Mjr. Nejberg—Techniczne współdziałanie z czołgami.

Mjr. K. Czarnecki—Francuskie bataljony saperów M. D. (d. c.).

Wolna trybuna.

Refleksje żołnierza piechoty. *Mjr. W. Budrewicz.*

Przedmioty wyższego wyszkolenia saperskiego. *K. Cz.*

Przegląd książek i czasopism.

Bibljografja.

Dział urzędowy.

Dział łączności.

Kpt. Kreis Józef —Łączność a związki przysposobienia wojskowego.

Kpt. Śliwowski Stefan—Łączność w wyższych jednostkach kawalerji podczas wojny 1919 — 20 r.

Mjr. inż. Dobrski Konstanty — Aparat polowy - niektóre zagadnienia.

Por. Kulesza — Poradnik techniczny dla wojska łączności.

Ppułk. Sikora Oskar — Stałe stacje gołębi pocztowych — czy ruchome.

Na czasie.

Ku lepszej organizacji radjofonji europejskiej. *(n).*

Lampa bez włókna. (*n*).

Przegląd książek i czasopism.

Bibljografja.

Dział urzędowy.

Dział broni pancernej.

Major Jan Naspiński — Kilka uwag o transportach i holowaniu czołgów Renault.

Kpt. Jerzy Kulesza — Czy powinniśmy dążyć do jak najszerszego rozpowszechniania automobilizmu wśród korpusu oficerskiego.

Kpt. Radliński — Współczesne koncepcje konstrukcji samochodów terenowych, ich przyszłość i zastosowanie.

Wolna trybuna.

W poszukiwaniu nowych środków łączności dla czołgów. *Em. kpt. Kobutnicki Władysław.*

Na czasie.

Stal nierdzewiejąca. *S. Z.*

Przegląd książek i czasopism.

„LEKARZ WOJSKOWY", luty 1928.

Huszcza A. — O istocie i pochodzeniu bólów mięśniowych (Myalgiae).

Łukasiewicz K. — O różniczkowaniu paciorkowców. (dokończenie).

Żmijewska H. — W sprawie próbnego śniadania Ehrmanna.

Szumski J. — Dwa przypadki pozapłciowego zakażenia kiłą.

Mikułowski W. — O bliskim związku między pedjatrją a medycyną wojskową.

Świechowski J. — Obserwacja lekarza pułku strzelców konnych nad rozwojem fizycznym rekruta.

Białokur Fr. — Materjały do historji służby zdrowia w powstaniu styczniowem.

Streszczenie zbiorowe. Patologja obrzęków.

Streszczenia.

Varia.

Zembrzuski — Materjały uzupełniające do „Złotej Księgi Korpusu Sanit. Pol.”

Sprawozdanie szpital. wojsk.

Przegląd czasopism.

Kronika.

Streszczenia w językach francuskim, angielskim i niemieckim.

SPRAWOZDANIA.

Generał A. Tanant: O powołaniu oficera. (L'officier de France). Tłumaczyła *Zofja Skolimowska*. Przekład przejrzany i uzupełniony przez *gen. M. Kukiela*. Poznań 1927. Wielkopolska Księgarnia Nakładowa Karola Rzepeckiego.

W programach naszych szkół oficerskich istnieje przedmiot, nazwany „służbą oficerską". Miałem zaszczyt być dwukrotnie (w Szkole Podchorążych a następnie w Oficerskiej Szkole Piechoty) wykładowcą tego przedmiotu. To też na podstawie wyniesionych z pracy praktycznej doświadczeń mogłem stwierdzić, czytając studjum gen. Tanant najpierw jako skrypt a następnia w wydaniu książkowem, słuszność zdania, wypowiedzianego przez gen. Kukiela w przedmowie do polskiego przekładu, że oprócz innych czynników twórczych, trzeba dziesiątków lat doświadczeń i długoletniej służby własnej autora, by mogła powstać całkowita synteza służby oficerskiej. Posiadamy niezaprzeczony element twórczy największej wartości, a mianowicie tradycję, i siłą rzeczy stanowi ona prawie całkowitą treść i realną wartość jedynej książki o oficerze polskim [1]), która ukazała się w Polsce odrodzonej.

Wyliczenie cnót czy też zalet, któremi ma odznaczać się oficer, to rzecz względnie łatwa. Wymienia wiele z nich Regulamin służby wewnętrznej, wymieniają je również inne regulaminy. Niestety, teoretyczne „wypracowanie ideału" nie wystarcza. Takie wypracowanie nie uczy, nie zachęca, nie przekonywa. Nie poszedł tą drogą gen. Tanant. Podaje on swą charakterystykę oficera francuskiego w formie rozważań, rad i wskazówek, kreślonych na tle życia i służby i dlatego jego wykłady, mimo głębokiego podkładu naukowego, nie odstraszają teorją lecz przykuwają uwagę czytelnika i przekonywują, gdyż pulsuje w nich życie wojska, życie pokojowe naprzemian z odgłosami świeżo przebytej wojny.

Gen. Tanant nie tworzy zatem żadnego abstrakcyjnego typu oficera. Nie występuje również z nowemi dogmatami. Nie potrzebuje tego robić. Opiera się o bogatą tradycję swego wojska, opiera się o bogatą literaturę tego przedmiotu, nie waha się podawać za wzór postaci zaczerpniętych z literatury pięknej, wychodząc ze słusznego założenia, że niektóre postacie „powieściowe" stają się narodowemi [2]).

---

[1]) Tadeusz Hołówko: „Polski oficer". Warszawa 1918.

[2]) Działanie wychowawcze bohaterów powieściowych (powieści narodowych) bywa nieraz większe, niż postaci historycznych, nawet jeśli zostały udostępnione przez literaturę piękną.

Literatura zaś fachowa psychologiczno-wychowawcza wojska francuskiego jest najbogatsza i poza klasykami ma w swym dorobku szeregi cennych książek, Gavet'a Lebaud'a i w. i. Z tego też względu mało istotne byłoby dociekanie, czy autor wyczerpał temat całkowicie.

Książka gen. Tanant jako charakterystyka całokształtu służby oficerskiej nie jest pierwszą książką w literaturze wojskowej francuskiej. Przed wojną wydane były wykłady ppłk. Lavisse'a [1]), komendanta szkoły oficerskiej w St. Maixent (odpewiednik naszej Szkoły Oficerskiej dla Podoficerów w Bydgoszczy). Dwie te książki uzupełniają się wzajemnie. Praca gen. Tanant jest oczywiście głębsza, jest bardziej twórcza, lecz i w wykładach ppłk. Lavisse'a znajdują się ustępy kapitalne, jak n. p. rozdział o stosunku oficera do podoficerów, które w pełni zachowały swą aktualność.

W studjum gen. Tanant zarysowywują się dwa wielkie działy, a mianowicie rozważania na temat poszczególnych cech oficera (cz. I. książki oraz kolejna charakterystyka oficera jako wychowawcy (cz. II. i III.), kierownika wyszkolenia (cz. IV.), dowódcy (cz. V.) i wreszcie jako członka społeczeństwa (cz. VI.).

Powinności oficera są to cnoty żołnierskie, które tak jak nazwa żołnierza wspólne są całemu wojsku. Na szczeblu oficerskim zachowują one swą nazwę, ale zmienia się ich treść. Każdy oficer jako dowódca kompanji jest nauczycielem powinności żołnierza (czasami już nawet jako oficer kompanijny). Do tej pracy wychowawczej będzie zdolny, gdy będzie miał sam głębokie zrozumienie powinności żołnierskich, gdy sam będzie wedle nich postępował.

W pracy nauczycielskiej wśród szeregowych operujemy motywami i pojęciami prostemi, dostosowanemi do ich poziomu umysłowego i zdolności pojmowania. Uproszczenie to może być wtedy zdrowe i w skutkach swych dla wojska dodatnie, jeśli sam nauczyciel jest wyznawcą zasad, które głosi. W jego umyśle musi przeto dokonać się przedtem proces myślowy, który da mu samemu świadomość własnej roli i własnego przeznaczenia. Musi oficer przed rozpoczęciem swej pracy zdobyć trudne dyspozycje uczuciowe, które tak często są potrzebne w praktycznem wykonywaniu powołania oficerskiego. Książka gen. Tanant będzie w tem przygotowaniu dobrym towarzyszem.

Treść powinności żołnierskich na szczeblach dowódców zmienia się w miarę posuwania się w tych szczeblach, podobnie jak zmienia się stopniowo zakres potrzebnych wiadomości. Niejeden oficer nabędzie sam drogą doświadczeń, drogą praktyki potrzebnych cech żołnierskich. Niestety, własne doświadczenia dokonywane są kosztem własnym albo cudzym. Dlatego warto skorzystać z przewodnika, zwłaszcza jeśli napisany został na podstawie próby tak ciężkiej, jaką była dla Francji wojna ostatnia, a kryzys 1917 r. w szczególności.

Znaczenie praktyczne dla czytelnika polskiego mają wszystkie bodajże części książki. Niewiele z nich wiąże się tak ściśle ze środowiskiem francuskiem, by mogły zmylić Znajdzie czytelnik wiele analogji do naszego wojska, jak chociażby system D. „Dawaj sobie rady", tak zbliżony do naszego „we własnym zakresie". Wykazanie wszystkich momentów, gdzie należałoby zastosować odmienne metody, nie jest rzeczą możliwą, nawet po gruntownem przestudjowaniu książki. Wymaga to ścisłej analizy całej treści czyli pracy, która dałaby materjał do pełnego studjum o oficerze polskim.

Podczas czytania nasuwa się wiele refleksyj, jak n. p.w sprawie udzielania się oficera podwładnym. W naszem wojsku, wskutek małej ilości podoficerów,

[1]) Lt.-colonel Lavisse: „Devoirs d'officier". Paris 1910.

oficer zmuszony jest zbyt często występować służbowo, co utrudnia styczność pozasłużbową. Maleje doniosły wpływ wychowawczy, jaki uzyskuje się przez częstsze udzielanie się podwładnym poza służbą. Jest to zagadnienie organizacji wogóle, a organizacji pracy w szczególności.

Podkreślić należy wysunięty przez gen. Tanant brak dodatnich namacalnych czynników wychowawczych jako przeciwwagi kar dyscyplinarnych. Jest to temat do rozważenia, zwłaszcza jeśli przypomnimy sobie, że w tym kierunku dokonało pewnych (może w dużej części fikcyjnych) posunięć wojsko sowieckie w swym ostatnim regulaminie służby wewnętrznej.

Książka gen. Tanant powinna znaleźć się w rękach każdego oficera. Studjującym zagadnienie służby oficerskiej polecam również cytowaną książkę ppłk. Lavisse'a. W dwóch tych pracach, obok bogatej treści, znajdą pełną bodajże bibljografję pomocniczą. Cyklowi przekładów dzieł psychologiczno-wychowawczych Ardant du Picq'a, de Vigny'ego, Lebaud'a i Gavet'a, przybyła książka piękna i niezwykle pożyteczna.

Mjr. S. G. Marjan Porwit.

Franciszek Schneider: Lotnictwo. Cykl obejmujący całokształt lotnictwa. Kraków 1928 r. Miejski Komitet L. O. P. P. w Krakowie.

Książka ppłk. Schneidera jest wydawnictwem przeznaczonem dla szerokich warstw ludności. Jak stwierdza na wstępie szef Departamentu Lotnictwa M. S. Wojsk., płk. S.G. Rayski, jest pierwszem wydawnictwem, obejmującem całokształt zagadnień lotnictwa i działów z niem związanych w formie popularnej, dostępnej dla każdego czytelnika, wobec czego powinna być rozpowszechniona nietylko pośród wszelkich rodzajów broni w wojsku, ale również wśród młodzieży szkolnej, uniwersyteckiej i całego społeczeństwa.

Ażeby społeczeństwo mogło zainteresować się lotnictwem, musi przedewszystkiem zrozumieć, czem jest lotnictwo, z jakiemi trudnościami musi walczyć, ażeby powstać a następnie istnieć i pracować; dopiero dzięki wszechstronnemu zrozumieniu zagadnień, można wymagać od społeczeństwa ofiarności na cele powietrznej obrony państwa.

Książka ppłk. Schneidera jest bardzo ważnym krokiem naprzód ku zdobyciu świadomej i celowej pomocy całego społeczeństwa w pracy tworzenia polskiego lotnictwa i jego podstawy, bez której w pełni rozwijać się nie może, a mianowicie rodzimego przemysłu lotniczego.

Pod względem merytorycznym nie można nic książce ppłk. Schneidera zarzucić — co jest zupełnie zrozumiałe, ponieważ wszystkie zagadnienia ujmuje w sposób popularny, nie mając pretensji do niepotrzebnej w tej popularnej książce zbytniej naukowości.

Autor w sposób bardzo dostępny zaznajamia czytelnika ze strefą, w której obraca się lotnictwo, odrębną od tego, z czem już zżyliśmy się, ponieważ nie jest to ani ląd stały, ani płynne morze, tylko lotny i o różnym składzie gaz, mający swe prawa, które nim rządzą, a wywołane przez to zjawiska albo utrudniają, albo ułatwiają pracę lotnika i zmieniają stopień jej napięcia.

Wychodząc z założenia, że książka ppłk. Schneidera powinna służyć celom propagandowym, uważałbym za konieczne, by w pierwszych jej rozdziałach, przy omawianiu historji lotnictwa, zostały szczególnie podkreślone i uwypuklone te trudności, jakie miało nawet tak bogate, zasobne i samowystarczalne państwo, jak Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, przy tworzeniu swego lotnictwa wojskowego

do czego zostały zmuszone znagła, po wypowiedzeniu wojny, nie mając ani odpowiednio zorganizowanego przemysłu, ani odpowiednio wyszkolonego wszelkiego rodzaju personelu. Pomimo tego, że Kongres jednorazowo wyznaczył na stworzenie lotnictwa 640.000 000 dolarów, a na cały zaś okres wojny 1.687,000.000 dolarów, zarozumiali yankesi, twierdzący, że w ich słowniku wyraz „niemożliwe" nie istnieje, nie mogli w ciągu 1½ roku stworzyć jako tako odpowiedniej floty powietrznej własnej i na własnej skórze i kieszeni przekonali się, że zaimprowizowanie floty powietrznej było rzeczywiście niemożliwe, ponieważ stworzenie lotnictwa bez samodzielnego przemysłu wewnątrz kraju jest nieziszczalną mrzonką. Ażeby zaś taki przemysł stworzyć, trzeba go przez długie lata pracy pokojowej troskliwie rozwijać i udoskonalać. Jednorazowy, nawet bardzo wielki, nakład kapitałów nie da w krótkim czasie pożądanych wyników.

Propagowanie tego poglądu, przez podkreślenie tak jaskrawego przykładu, jak historja lotnictwa amerykańskiego, jest w naszych warunkach nieodzowne, ponieważ zdajemy sobie zupełnie dobrze sprawę, że nasz przemysł wogóle stoi bez porównania niżej od amerykańskiego i nie mógłby nawet w małej części sprostać temu zadaniu, jakie, pomimo wszystko, spełnił przemysł amerykański.

Należy na każdym kroku podkreślać i wysuwać jako niewzruszalną zasadę, zdanie, że: „aby mieć lotnictwo w czasie wojny, stojące na odpowiednim poziomie, trzeba budować i rozwijać przemysł lotniczy i samą flotę powietrzną w ciągu długich lat pracy pokojowej, nie szczędząc nakładów, bo się takowe w momencie krytycznym sowicie opłacą".

Przeglądając poszczególne rozdziały pracy ppłk. Schneidera, odnosi się wrażenie, że niektóre z nich (Zasady lotu, Budowa samolotu, Latanie) podają naraz zadużo materjału, niepowiązanego dość silnie w logiczny łańcuch przyczyn i skutków, dzięki czemu zmuszają laika, niedostatecznie obznajmionego z lotnictwem, do zbyt dużego wysiłku myślowego, co może odbić się ujemnie na łatwości czytania i opanowania treści tej, tak pożytecznej w naszych warunkach książki

Dział dotyczący obrony przeciwlotniczej, a zwłaszcza biernej i jednej z jej form — mianowicie maskowania, mógłby być nawet w popularnej książce trochę szerzej potraktowany, ponieważ będzie to objaw, z którym szerokie warstwy spotkają się w czasie wojny najczęściej.

Przy omawianiu lotnictwa wojskowego, byłoby, mojem zdaniem, wskazane podkreślić w odniesieniu do lotnictwa sanitarnego i transportowego, te doświadczenia, bardzo cenne, jakie w tej dziedzinie zostały zdobyte przez Francję w Maroku, oraz te korzyści, jakie można osiągnąć w czasie pokoju z lotnictwa sanitarnego dla szerszych warstw społeczeństwa w razach nagłych wypadków i konieczności jak najszybszej operacji i t. p., oddając jednocześnie ogromne usługi w zakresie przygotowania lotnictwa tego typu na przyszłość.

Wreszcie, przy omawianiu w ostatnim rozdziale lotnictwa morskiego, nie można pominąć milczeniem doświadczeń zdobytych w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej dzięki staraniom i wytrwałości generała Mitchella, który w styczniu 1921 r. przed komisją budżetową kongresu z całą pewnością siebie wyraził zdanie, „że nowoczesny okręt linjowy, kosztujący około 40 miljonów dolarów, tak samo jest przestarzały, dzięki rozwojowi lotnictwa wogóle, a lotnictwa morskiego w szczególności, jak swego czasu okazał się przestarzałym rycerz, zakuty w pancerz, po wynalezieniu prochu."

Doświadczenia praktyczne, poczynione w czerwcu i lipcu tegoż roku, podczas których lotnictwo amerykańskie zbombardowało i zatopiło łódź podwodną

„U-117“, torpedowiec „G-102“, lekki krążownik „Frankfurt“ i wreszcie 28.000 tonowy „Ostfriesland“, całkowicie potwierdziły słuszność zdania generała Mitchella.

Przykłady tego rodzaju, jak proponowane powyżej, a których można wybrać jeszcze bardzo dużo, ożywiłyby bardzo treść książki. Mają one bowiem tę właściwość, że przemawiają do przekonania czytelnika o wiele łatwiej, niż najbardziej logicznie zbudowany wywód słowny.

Zastrzeżenia, które wymieniłem, nie zmniejszają bynajmniej wartości książki, jako pracy popularyzacyjnej, która powinna być jak najbardziej poparta przez czynniki oficjalne oraz organizacje społeczne. Rozwojowi lotnictwa naszego odda ona wielkie usługi dzięki temu, że szerokim warstwom społeczeństwa ułatwia jego zrozumienie.

Ppłk. S. G. Zbigniew Prażmowski.

ERRATUM

W art. Walerego Łozińskiego „Nasze bogactwo mineralne jako czynnik państwowości”, zamieszczonym w poprzednim zeszycie, należy wprowadzić następujące poprawki:

str. 33, wiersz 3, zamiast „Napoleona III“ — powinno być „Napoleona I“;

str. 43, wiersz ostatni (tekstowy), zamiast „przedhistorycznego“ — powinno być „przedrozbiorowego”.

Redaktor: *MJR. S. G. MARJAN PORWIT.*

Sekretarz redakcji: *KPT. FRANCISZEK LIPIŃSKI.*

Zeszyt w sprzedaży pojedyńczej zł 1.75.

Prenumerata kwartalna: w Warszawie zł 4.50, zamiejscowa zł 4.75.

Adres redakcji: Warszawa, Sztab Generalny, plac Saski 3. Telefony: redaktor 75 wewn. Sztabu Gen., sekretarz 163 wewn. Sztabu Gen.

Godziny przyjęć redaktora: poniedziałki, środy i piątki od 14.30 do 15.30.

Adres administracji: Główna Księgarnia Wojskowa, Warszawa, Nowy-Świat 69. Tel. 202-19.

Druk. J. B. Kondeckiego, Warszawa, Marszałkowska 53a. Telefon 268-08.